

MIRANDA LEE

Niezapomniany weekend

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kiedy niezwykle ruchliwa w przeddzień każdego weekendu szosa, prowadząca z Sydney w kierunku Gór Błękitnych, uwielbianych przez mieszkańców metropolii jako miejsce sobotnio-niedzielnego wypoczynku, zaczęła wznosić się dość stromą i krętą serpentyną, na domiar złego spadł deszcz. Hannah uruchomiła wycieraczki i zerknęła zza kierownicy na swego pasażera.

Na szczęście nadal spał, więc nie musiała się nim zajmować i mogła skoncentrować całą uwagę wyłącznie na prowadzeniu samochodu. Do górskiego weekendowego domku niełatwo było dojechać nawet w najdogodniejszej porze dnia i tygodnia, i w najładniejszą pogodę. W piątkowy wieczór, w ciemności i mżawce, zatłoczona trasa robiła się wyjątkowo trudna, a nawet niebezpieczna. Hannah mocniej zacisnęła dłonie na kierownicy.

Pomyślała z przestraszonym: *I co ja właściwie najlepszego robię?*

Zdrowy rozsądek podpowiadał jej, że powinna zrobić coś zupełnie innego niż to, na co się zdecydowała. Że zamiast wymykać się w góry, powinna natychmiast zawrócić do miasta, odwiedzić Jacka do domu, wyznać mu całą prawdę i poprosić go, aby zechciał jej wybaczyć karygodny wybryk. Wybryk? No, a jak inaczej można nazwać udawanie narzeczonej mężczyzny, któremu nieszczęśliwym trafem spadła na głowę dachówka, powodując u niego chwilową utratę pamięci?

Poszkodowany Jack Marshall, szef i właściciel prężnej, liczącej się na rynku firmy budowlanej "Marshall Homes", poprosił w szpitalu pielęgniarkę, żeby powiadomiła o wypadku jego narzeczoną, której imienia i nazwiska niestety nie był w stanie sobie przypomnieć. Podał jedynie zapamiętany numer telefonu, w istocie wcale nie do narzeczonej, tylko do własnego biura. Pielęgniarka zadzwoniła pod ten numer i w taki oto sposób skontaktowała się z Hannah Althorp, sekretarką Jacka.

Hannah natychmiast zjawiła się w szpitalu i przekonawszy się, że szef zupełnie nie pamięta wydarzeń, jakie rozegrały się w ciągu mniej więcej sześciu ostatnich tygodni, podszyla się pod jego sympatię i wmówiła mu, że od wczoraj są zaręczeni. Ponieważ Jack usilnie się bronił przed pozostaniem na dłuższej obserwacji w szpitalu, zobowiązała się wobec lekarzy zabrać go do domu i opiekować się nim troskliwie

dopóty, dopóki skutki urazu nie miną i luki w pamięci się nie wypełnią, co wedle wszelkiego prawdopodobieństwa powinno nastąpić po upływie kilku dni.

Zamiast do domu jednak, Hannah ruszyła z Jackiem w góry. Po co? Żeby go ukryć przed prawdziwą narzeczoną, Felicią Fay, kobietą tyleż piękną i ambitną, co wyrachowaną i perfidną.

Jack poznał Felicię sześć tygodni temu i z miejsca całkowicie stracił dla niej głowę. Zaręczyli się przed kilkoma dniami, a już na koniec miesiąca zaplanowali ślub. Urządzili wczoraj wieczorem zaręczynowe przyjęcie, na które Hannah również została zaproszona. W trakcie przyjęcia zupełnie przypadkiem dowiedziała się czegoś, co skłoniło ją do podjęcia tej ryzykownej decyzji o podstępnym wywiezieniu Jacka w góry i przekazaniu Felicii w jego imieniu faksu o następującej treści: "Kochanie, mam pewne wątpliwości związane z naszymi zaręczynami i ślubem. Ponieważ muszę to wszystko dokładnie przemyśleć, chciałbym być sam przez kilka najbliższych dni. Wyjeżdżam. Będę w miejscu, gdzie na pewno mnie nikt nie odnajdzie. Natychmiast po powrocie skontaktuję się z Tobą. Jack".

Nadając ten faks, Hannah powiększyła listę swych niewątpliwych przewinień o jeszcze jedno: sfałszowanie korespondencji szefa. Zdawała sobie doskonale sprawę, że kiedy cała historia wyjdzie na jaw, może ponieść surowe konsekwencje, z utratą pracy włącznie. Była jednak gotowa na wszystko, byle tylko uchronić Jacka Marshalla przed popełnieniem fatalnej życiowej pomyłki, jaką niewątpliwie okazałoby się dla niego małżeństwo z Felicią Fay. Dlatego zdecydowała się zaryzykować, stawiając wszystko na jedną kartę.

Hannah pracowała w firmie "Marshall Homes" jako osobista sekretarka Jacka Marshalla niewiele dłużej niż rok. Zdażyła jednak poznać swego szefa na tyle dobrze, że gdy tylko zetknęła się z Felicią Fay, aktorką i modelką, od razu intuicyjnie oceniła ją jako najgorszą z możliwych kandydatkę na jego sympatię. A cóż dopiero na żonę!

Wczorajszy wieczór w pełni potwierdził niedobre przeczucia Hannah, dostarczył niezbitych dowodów ich trafności. Do zrobienia pozostawało więc tylko jedno: otworzyć Jackowi oczy i przekonać go, że powinien zerwać zaręczyny.

Decydując się na ryzykowną ingerencję w osobiste sprawy swego pracodawcy, Hannah Althorp nie kierowała się bynajmniej zazdrością o Felicię Fay. Z całą pewnością nie należała do tych sekretarek, które jawnie bądź skrycie pod-kochują się w swoich szefach! Lubiła i ceniła Jacka Marshalla, to prawda, lecz przecież niczego więcej nigdy w

stosunku do niego nie odczuwała.

Poza wdzięcznością, oczywiście. Hannah była Jackowi Marshallowi wdzięczna, ogromnie wdzięczna za to, że poszukując sekretarki, zdecydował się zamiast jakiejś seksownej siusiumajtki zatrudnić właśnie ją, matkę dwu dryblasów w wieku czternastu i trzynastu wiosen, dojrzałą, trzydziestopięcioletnią kobietę świeżo po przejściach rozwodowych oraz po długiej, kilkunastoletniej przerwie w pracy.

Jack stwierdził wówczas, dzwoniąc do Hannah nazajutrz po odbytej z nią rozmowie kwalifikacyjnej, że potrzebuje takiej akurat osoby jak ona: poważnej, odpowiedzialnej, obowiązkowej. I teraz właśnie bezwzględne poczucie obowiązku stało się chyba najważniejszą przyczyną, dla której Hannah zdecydowała się zrobić to wszystko, co zrobiła. Poczucie służbowego obowiązku, wzbogacone odrobiną prywatnej życzliwości wobec szefa.

Zaciskając ze zdenerwowania dłoń na kierownicy swego samochodu, którym wiozła poszkodowanego w wypadku na budowie Jacka Marshalla do zagubionego na górskim odludziu weekendowego domku, Hannah powtórzyła półgłosem zadane samej sobie przed chwilą w myślach pytanie:

- Co ja właściwie najlepszego robię?

I niemal natychmiast udzieliła sobie na nie zdecydowanej odpowiedzi:

- Ratuję Jacka przed tą podłą damulką, to wszystko. Ratuję go, dopóki jeszcze nie jest za późno!

- Ach, więc nawet ta wychwalana pod niebiosa Hannah, niezastąpiona szparka sekretarka, czasami się spóźnia! - Z nie ukrywanym przekąsem w głosie i z beczelnie fałszywym uśmiechem na grubo uszminekowanych ustach zaszcebiotała poprzedniego wieczora Felicia Fay, witając Hannah na swoim i Jacka zaręczynowym przyjęciu.

Ponieważ skromna garsoniera Jacka Marshalla nie pomieściłaby licznego grona zaproszonych gości, tłumna i huczna uroczystość odbywała się w pewnym nie zasiedlonym jeszcze eleganckim i przestronnym apartamencie, usytuowanym na najwyższym piętrze

luksusowego bloku mieszkalnego, świeżo wzniesionego przez firmę "Marshall Homes" w ekskluzywnej nadmorskiej dzielnicy Sydney - Kirribilli.

Hannah istotnie zjawiała się z opóźnieniem. Prawdę mówiąc, to chyba tylko jakieś cudowne zrządzenie losu sprawiło, że w ogóle się zjawiała, zupełnie bowiem nie miała tego popołudnia nastroju do uczestnictwa w towarzyskiej imprezie. Otrzymane właśnie za pośrednictwem poczty ostateczne dokumenty rozwodowe boleśnie przypomniały jej o fatalnej życiowej porażce, za jaką uważała rozpad swego małżeństwa. Ogarnięta zniechęceniem i melancholią, zamierzała już darować sobie przyjęcie, ale w ostatniej chwili, nie chcąc sprawiać zawodu szefowi, właściwie wbrew własnym chęciom włożyła czarną wieczorową sukienkę, wsiadła w samochód i pojechała.

Przyjechała na miejsce i od razu zaczęła tego żałować. Pomyślała z goryczą: Przecież to absurd, wysilać się tylko po to, żeby wysłuchiwać od progę impertynenckich uwag tej kobiety!

Postanowiła jednak robić dobrą minę do złej gry i z pobłażliwym uśmiechem na twarzy milczeć, tak długo przynajmniej, jak długo starczy jej cierpliwości.

Felicia, ponętna niebieskooka blondyna o nieskazitelnej figurze modelki, wydatnym biuście i tak efektownej, że aż trochę lalkowatej urodzie, ciągnęła tymczasem swoim jadownicie słodziutkim głósikiem:

- Biedactwo, musisz być niesamowicie zapracowana! Że też ten Jack tak cię zamecza, Hannah. Nawet nie zdążyłaś się przebrać. Ta biurowa kiecka! Chociaż właściwie to dobrze ci w czarnym. Czerń wspaniale wyszczupła, prawda?

Skromna i nie całkiem nowa sukienka Hannah z pewnością nie dorównywała szykownej ciemnobłękitnej kreacji z odważnym dekoltem, jaką miała na sobie Felicia, ale też w żadnym wypadku nie zasługiwała na pogardliwe miano "biurowej kiecki". A jej właścicielka, choć ważyła być może o parę kilogramów za dużo, bynajmniej nie musiała dobierać sobie strojów w wyszczuplających kolorach!

Hannah miała nieprzepartą chęć taktownie, ale zdecydowanie uprzytomnić owe zasadnicze prawdy Felicii, ta jednak, nie dopuszczając jej do głosu, szczebiotała dalej:

- Och, Hannah, dziękuję ci za ten słodki drobiazg, który mi podałaś przez Jacka jako zaręczynowy upominek! Ja po prostu uwielbiam rozmaite ozdóbki i błyskotki, nawet te najskromniejsze i

najtańsze.

Podarowana przez Hannah broszka nie mogła oczywiście kosztować aż tyle, ile zdobiący szyję Felicii długi sznur prawdziwych pereł, uzupełniony efektownymi perłowymi kolczykami, które miała w uszach, była jednak wystarczająco kosztowna i elegancka, żeby w nazwaniu jej "błyskotką" dopatrywać się świadomej złośliwości.

*Cóż to za wredna żmija!* - pomyślała Hannah z niechęcią o przyszłej żonie swego szefa.

Felicia tymczasem, jak gdyby nigdy nic kontynuowała swój powitalny wywód:

- No, to proszę cię dalej, moja droga, dołącz do naszych gości. Mamy tu towarzystwo na naprawdę wysokim poziomie, ale nie krępuj się, to są bez wyjątku nadzwyczaj sympatyczni ludzie.

- Dlaczego przypuszczasz, że mogłabym się czuć skrępowana? - Hannah nie wytrzymała i pozwoliła sobie na dość obcesowe pytanie.

- Och, bo mi wyglądasz na trochę nieśmiałą kobietkę! - palnęła Felicia. - Wcale nie na taką typową sekretarkę, co niby udaje anioła, ale tak naprawdę to wszystkich interesantów umie porozstawiać po kątach.

- A na kogo twoim zdaniem wyglądam, byłabyś może łaskawa mi powiedzieć?

- Nnno, czy ja wiem... - zawahała się Felicia, z lekka już w tym momencie speszona. - No, po prostu na taką kurkę domową! Jesteś mężatką, prawda? Zauważyłam, że nosisz obrączkę.

- Jeszcze noszę, ale już jestem po rozwodzie - wyjaśniła Hannah. - Właśnie dzisiaj otrzymałam wszystkie dokumenty orzekające rozwód. Mnie i niejakiego pana Althorpa łączą teraz wyłącznie wspólne dzieci.

- Dzieci? - zdziwiła się Felicia. - Jak sobie radzisz z pracą, skoro masz dzieci na głowie?

Hannah uśmiechnęła się, mówiąc:

- To już nie są maleństwa, moja droga, tylko dwaj prawie dorośli młodzieńcy, trzynaście i czternaście lat. I nie mam ich, jak powiedziałaś, "na głowie", ponieważ chłopcy uczą się w dobrej szkole z internatem.

- Ach tak! Chłopcy, trzynaście i czternaście lat? - Felicia nie przestawała się dziwić. - Powiem ci, Hannah, że mimo wszystko nie wyglądasz na matkę takich dużych dzieciaków!

- Miła jesteś, mimo wszystko.

Felicia uśmiechnęła się promiennie, zdając się nie dostrzegać ironii w słowach, jakimi Hannah podziękowała jej za wątpliwy komplement. Zatrąkotała:

- Ale, ale, to ty po mężu jesteś panią Althorp, Hannah? Znam kogoś o takim nazwisku. To lekarz, chirurg, doskonały specjalista od operacji plastycznych, ma gabinet przy North Shore. Uroczy facet, przystojny, kulturalny. Ten twój Althorp to może jakiś jego kuzyn, nie wydaje ci się?

Nim Hannah zdążyła odpowiedzieć, że ów wzięty fachowiec od poprawiania niedoskonałej z natury bądź przywędłej z biegiem czasu damskiej urody, to nie kto inny, tylko właśnie jej eks-mążzonek, Felicia zakreśliła się na pięcie i zostawiła ją samą, rzucając tylko na odchodnym:

- Muszę wracać do Jacka i do gości. Mówię ci, towarzystwo na wysokim poziomie, same grube ryby. No, baw się dobrze, moja droga!

W odpowiedzi Hannah zmusiła się tylko do nieco szerszego uśmiechu.

Nie wiem, czy mi się to uda, pomyślała. *Ale najważniejsze, że ty, moja droga, świetnie się bawisz z okazji swoich zaręczyn. Tak świetnie się bawisz, że aż nie wiesz, co mówisz. A może i wiesz, złośliwa żmijko!*

Bezczelność Felicii wydała się Hannah równie uderzająca, jak jej uroda. I kto wie, czy nie bardziej naturalna? Doktor Dwight Althorp potrafił przecież naprawdę sporo zdziałać w zakresie poprawiania urody i korygowania rysów twarzy, a także udoskonalania kształtu biustów czy pośladków!

Doktor Althorp. Kiedy Hannah wychodziła za niego za męża w wieku dziewiętnastu lat, również miała figurę modelki, lecz, niestety, po dwu ciążach i szesnastu latach małżeństwa zaokrągliła się nieco. Przestała odpowiadać standardowi urody, z uporem lansowanemu przez reklamę, ilustrowane magazyny i pozostałe media. I przestała odpowiadać Dwightowi, dla którego u kobiety liczyła się wyłącznie prezencja oraz łóżkowe umiejętności, nic poza tym. Sfera uczuć była mu całkowicie obojętna, wręcz obca.

Hannah zaczęła się zastanawiać: czyżby Jack Marshall rozumował podobnymi kategoriami, jak jej eks-mąż? Czy raczej naiwnie dał się nabrać na jakieś sprytne sztuczki Felicii Fay? W pierwszym przypadku planowane małżeństwo miałoby szansę spełnić jego oczekiwania, dlaczego nie! Ale w drugim? W drugim musiałyby się okazać równie

tragiczną pomyłką, jak jej własny mariaż z Dwigthem Althorpem.

Hannah pomyślała z goryczą: Cóż, pomyłki się w życiu zdarzają, wiem coś o tym z osobistego doświadczenia. Ale swoją drogą... Nawet jeśli nieomylny w biznesie Jack myli się w sprawach osobistych, to przecież wyłącznie jego, a nie mój problem. Jego i Felicii. Przecież sami odpowiadają za siebie, oboje są dorośli, on ma trzydzieści pięć lat, ona dwadzieścia dziewięć. Co najmniej, bo do tyłu się oficjalnie przyznaje. Niech się sami o siebie martwią, nic mi do tego, mam dość własnych kłopotów.

Aktualnym kłopotem Hannah był przede wszystkim nieprzeparty apetyt na papierosa. Wśród zgromadzonych na przyjęciu gości było wielu palaczy, drażniący zapach tytoniowego dymu unosił się w powietrzu, a ona zerwała z nałogiem dopiero kilka tygodni temu i chociaż bardzo chciała wytrwać w nikotynowej abstynencji, nie przychodziło jej to zbyt łatwo.

Gdyby nie Jack, który sam w swoim czasie rzucił palenie i przekonywał ją usilnie, że warto, a na dodatek skrupulatnie pilnował, by podczas pracy nie sięgała po papierosy, pewnie nie wytrzymałaby dłużej niż kilka dni. Teraz jednak szefa nie było w pobliżu, a pokusa, jaka naszała Hannah, miała taką siłę, że kazała jej pomyśleć: *Podejdę do tej palącej grupki tam, w rogu pokoju, na pewno ktoś mnie poczęstuje, nic się przecież nie stanie, jak sobie pozwolę na tego jednego jedyne go papieroska w towarzystwie, na przyjęciu.*

Hannah ruszyła w stronę palaczy, nim jednak do nich dotarła, ktoś ją zniemacka zatrzymał, ujmując od tyłu za łokieć i oznajmiając niskim, dźwięcznym, ciepłym, tubalnym trochę basem:

- Stop! Nie warto!

- Szefie, skąd wiedziałeś? - zdziwiła się Hannah.

Jack Marshall, bo to on właśnie okazał się owym czujnym antynikotynowym "aniołem stróżem", odpowiedział z szerokim uśmiechem:

- Widocznie czytam w twoich myślach.

*Szkoda, że w moich, a nie w myślach Felicii Fay, szefie, bo wtedy byś wiedział, jaka jest naprawdę i co knuje!* - pomyślała Hannah.

Nie wyjawiała jednak Jackowi swoich myśli. Spojrzała tylko na niego w pełnym zadumy milczeniu.

Jack Marshall był mężczyzną co się zowie, postawnym, prawdę

mówiąc, nawet trochę niedźwiedziowatym. Mierzył blisko dwa metry. Imponował przy tym nie tylko wzrostem, ale też szerokością ramion i w ogóle atletyczną budową. Oblicze miał sympatyczne i ujmujące, choć z całą pewnością nie nazbyt urodziwe, a dodatkowo zeszpecone blizną, jaka biegła mu spod lewego oka, poprzez policzek, aż do lewego ucha i była ponoć smutną pamiątką po jakiejś bójce na noże, w której brał udział jako młody chłopak. Tak przynajmniej głosiła biurowa plotka, choć w istocie w nożowniczą przeszłość Jacka Marshalla niełatwo przychodziło komukolwiek uwierzyć.

W szerokiej piersi szefa "Marshall Homes" kryło się bowiem prawdziwie "złote serce", a spojrzenie jego jasnoblękitnych oczu było tak dobrodusze, że kiedy pogroził Hannah palcem, bynajmniej jej nie przestraszył, a tylko sprowokował do śmiechu.

- A śmieć się, śmieć, ile chcesz, bylebyś tylko nie paliła! - powiedział Jack z głębokim westchnieniem. - Pewnie ze mnie się śmiejesz - dodał. - I masz rację, w tym smokingu wyglądam jak pingwin, nigdy bym czegoś takiego na siebie nie włożył, gdyby nie Felicia. Nie majak džinsy i sportowa koszula, no, ale czego to człowiek nie zrobi, żeby się przypodobać kobiecie!

- O mnie mowa, czy może o kimś innym? - spytała Felicia Fay, zjawiając się jak na zawołanie u boku Jacka i wspierając się kokieteryjnie na jego ramieniu.

- O tobie, kochanie, o tobie! Tłumaczę właśnie Hannah, że to ty kazałaś mi się na dzisiejszą okazję tak niesamowicie wystroić. Nawet muszkę sobie uwiązałem pod szyją, chociaż, prawdę mówiąc, nie cierpię jej...

- Jack, chyba nie musisz się z tego tłumaczyć przed swoją sekretarką! - przerwała mu Felicia, rzucając Hannah z ukosa jadowite spojrzenie.

- Nnno... nie. Nie tłumaczę się przecież, po prostu tak tu sobie rozmawiamy.

- To na razie przerwijcie. Chodź pogadać z Geraldem Boyntonem, Jack, bo właśnie pytał o ciebie.

- No to chodźmy, chodźmy. Gerald faktycznie wspominał już w drzwiach, że ma dla mnie jakieś nowe biznesowe propozycje. To na razie, Hannah, baw się wesoło. Tylko pamiętaj: palić nie warto, nawet jednego, dobrze ci radzę! Zmarnujesz to, co już osiągnęłaś, a potem będzie ci szkoda.



Jack i Felicia oddalili się. Hannah pokiwała w milczeniu głową i pomyślała: Gdybym to ja miała ci udzielać dobrych rad, szefie, powiedziałabym, że nie warto wdawać się w romanse z kobietami typu Felicii ani w interesy z facetami typu Boyntona, ot co!

Gerald Boynton, czterdziestoletni przystojniak z drobnym wąsikiem i trochę rozbieganymi oczkami, był dość ważną figurą w branży nieruchomości i od niedawna jednym z kontrahentów Jacka Marshalla. Hannah znała go doskonale z biura i szczerze nie cierpiała. Mieszanina wyniosłości i fałszu, jaką dostrzegała każdorazowo w jego spojrzeniu, ilekroć odwiedzał firmę "Marshall Homes", mimo braku dowodów nakazywała jej intuicyjnie podejrzewać Boyntona o jakieś nie najciekawsze zamiary.

No, ale dobieranie szefowi klientów nie należy przecież do obowiązków sekretarki, tak samo jak dobieranie mu sympatii, wytłumaczyła sobie Hannah. W obydwu tych przypadkach Jack jest przecież samodzielny, a ja mam dość własnych kłopotów!

Aktualnym pierwszoplanowym kłopotem było dla niej wciąż to samo - męcząca i nie dająca się stłumić niczym, nawet szklaneczką doskonałego szampana, chęć na papierosa.

Rozdrażniona Hannah kręciła się tu i tam po apartamencie. To zamieniała w przelocie parę słów z tą lub ową spośród zgromadzonych na przyjęciu osób, to znów zatrzymywała się na chwilę samotnie gdzieś w kątku. Przypominała sobie swoje wcześniejsze nieudane próby zerwania z nikotynowym nałogiem i drwiny Dwighta, który za każdym razem zarzucał jej brak silnej woli.

Kiedy przy okazji przypominała sobie podobną trochę z wyglądu do Felicii Fay blondynkę imieniem Delvene, dla której Dwight ją rzucił, zatrzęsała się z bezsilnej złości, machnęła ręką i z rezygnacją przyjęła papierosa, którym poczęstował ją jeden z licznych na przyjęciu palaczy. Chcąc ujść czujności Jacka, który z racji wzrostu był w stanie wypatrzeć ją nawet w najgęstszym tłumie zebranych, postanowiła wymknąć się dla zakosztowania zakazanego owocu na przylegający do apartamentu rozległy taras.

Wyszła i przystanąła w zacisznym zakątku, osłoniętym przez rosnący w potężnej donicy bujny, gęsto ulistniony ozdobny krzew. Już miała się z lubością zaciągnąć dymem z papierosa, kiedy usłyszała lekkie trzaśnięcie drzwi i spostrzegła, że jakaś para wymyka się z apartamentu na taras.

Mężczyzna i kobieta znaleźli się po chwili na tyle blisko miejsca,

w którym stała w ukryciu Hannah, że nawet w mroku mogła w nich doskonale rozpoznać Felicię Fay i Geralda Boyntona. Nieświadomi jej obecności zaczęli się namiętnie całować.

- Smaczna jestem, prawda? - zapytała w pewnym momencie swego adoratora kokieteryjnie modulowanym, omdlewającym głosem Felicia.

- Niesamowicie! - jęknął Boynton. - Naprawdę nie mam pojęcia, jak ja bez ciebie wytrzymam!

- Wytrzymasz, Gerald, wytrzymasz. Znajdziesz sobie nowego kociaczka.

- Och, co z tego? Idę o zakład, że w łóżku żadna ci nie dorówna.

- Ty też nieźle się umiesz bawić w te klocki, mój świntuszk, muszę ci to szczerze przyznać!

- To po diabła wychodzisz za tego niedźwiedzia Jacka Marshalla i puszczasz mnie w trąbę? - wybuchnął Boynton. - Zobaczysz, przygniecie cię w łóżku jak kłoda albo jak jakiś walec drogowy! Wspomnisz jeszcze moje słowa i pożałujesz tego bezsensownego zamażpójścia. Przecież Jack to w gruncie rzeczy prostak, zwyczajny budowlaniec.

- A czy ja potrzebuję filozofa? Nie będzie tak źle, Gerald, już ty się o mnie nie martw. Twoja maleńka Felicia poradzi sobie w łóżeczku i z niedźwiedziem, i z kłodą, i nawet z drogowym walcem. Nasz niedźwiadek Jack będzie tańczył dokładnie takiego walczyka, jakiego ja mu zagram, możesz być tego pewien. W łóżku i nie tylko!

- No, przecież ja też zapewniałem ci wszystko, na co tylko miałaś ochotę, Felicio, spełniałem każdą twoją zachciankę!

- Tej najważniejszej nie chciałeś spełnić, Gerald. Nie ożeniłeś się ze mną!

- Bo przecież już jestem żonaty. Ale poza tym, Felicio, jeśli ci chodzi o forszę, to nie ma żadnych problemów, zrezygnuj tylko z małżeństwa z Jackiem, a ja już ci zapewnię utrzymanie na wysokim poziomie, proszę bardzo!

- Na pewno nie na wystarczająco wysokim, mój drogi. Niby masz szeroki gest, ale ja już dobrze wiem, kto siedzi w tobie... tam w środku. Paskudny stary sknerus!

- Nie jestem taki głupi, moja droga, żeby od razu szastać pieniędzmi na lewo i na prawo.

- A ja nie jestem taka głupia, mój drogi, żeby na to liczyć! Zamiast skąpego kochanka na przychodne, wolę mieć na stałe takiego mężulka jak Jack Marshall. To idealny facet dla mnie. Zapracowany milioner, który nie chce mieć dzieci. Wyobrażasz sobie lepszy układ? Będę miała do własnej dyspozycji mnóstwo forsy i mnóstwo wolnego czasu. Niczego więcej nie mogłabym sobie nawet wymarzyć! Dlatego muszę się z tobą rozstać, mój świntuszk. Chociaż nie powiem, że mi tego tak ani troszkę nie szkoda.

- Och, Felicio! Jak już odbębnisz miesiąc miodowy z tym swoim dragalem, to chyba znajdziesz od czasu do czasu wolną chwilkę na małe bara-bara z kimś innym, na przykład ze starym, dobrym przyjacielem, prawda? Taki wyłom w małżeńskiej monotonii to dobra rzecz, mogę cię o tym zapewnić z własnego doświadczenia!

Felicia roześmiała się i mruknęła:

- Zobaczymy, mój świntuszk, zobaczymy. Na razie cię zostawiam, bo Jack pewnie się już za mną rozgląda, a zresztą piekielnie tu zimno. Baw się dalej dobrze na moich zaręczynach!

- Bez ciebie to już żadna zabawa się dla mnie nie liczy, Felicio - stwierdził zde gustowany Boynton. - Pójdę się napić i tyle!

Dwukrotnie, w niewielkim odstępie czasu, trzasnęły drzwi. Felicia Fay i zaraz po niej Gerald Boynton, opuścili taras. Hannah została sama ze swymi gorączkowymi myślami.

Była zbulwersowana tym, co niechcący usłyszała. Zbulwersowana, chociaż właściwie w niewielkim tylko stopniu zaskoczona. Intuicja już od dawna podpowiadała jej, że Felicia jest złą i zepsutą kobietą, zdecydowaną usidlić Jacka Marshalla z czystego wyrachowania. Teraz przecucie przeszło w pewność, a przypuszczenia przemieniły się w dowody. Hannah postanowiła zaraz następnego dnia rano przedstawić je szefowi i uświadomić go, w co się wpackuje, jeśli zawczasu nie zerwie zaręczyn.

Niestety, jej plan się nie powiódł, ponieważ nazajutrz po zaręczynowym przyjęciu Jack Marshall nie pojawił się w gabinecie, tylko prosto z domu wybrał się na wizytację jednej z budow prowadzonych aktualnie przez firmę "Marshall Homes". Tam właśnie doszło do nieszczęśliwego wypadku i...

No cóż, sprawy tak się niespodziewanie ułożyły, że Hannah musiała przedsięwziąć coś zupełnie innego niż szczerą rozmowę z szefem. Coś znacznie bardziej ryzykownego. Nazywając rzeczy po

imieniu - oszustwo i porwanie, czyn karygodny, jakkolwiek dokonany w najlepszej intencji!

Deszcz padał coraz większy, a droga była coraz bardziej stroma, kręta i śliska. Zdenerwowana i zafrasowana Hannah w którymś momencie o mało nie najechała od tyłu na słabo oświetloną, ochlapaną błotem półciężarówkę. Przyhamowała dosłownie w ostatniej chwili.

Gwałtowne szarpnięcie wytrąciło z drzemki nafaszerowanego przez lekarzy środkami przeciwbólowymi i uspokajającymi Jacka Marshalla.

- Co się dzieje? - mruknął i półprzytomnie rozejrzał się dookoła. Dostrzegłszy Hannah za kierownicą, zamrugał kilkakrotnie oczyma, zmarszczył brwi i zapytał jeszcze: - Kobieto, co ty właściwie najlepszego robisz?

## ROZDZIAŁ DRUGI

Hannah spieszyła się niesamowicie, zdołała jednak jakoś sformułować w miarę sensowną odpowiedź:

- Ja? Wiozę cię w góry, na weekend.

- Na weekend w góry? A po co?

- Miałeś wypadek na budowie, nie pamiętasz? Lekarz powiedział, że jak już nie chcesz zostać na parę dni w szpitalu, to powinieneś trochę odpocząć w jakimś cichym, spokojnym zakątku, pod troskliwą opieką. Zaopiekuję się tobą, Jack, poczekamy razem, aż skończą się te twoje kłopoty z pamięcią, dojdiesz do równowagi i będziesz mógł wrócić do pracy. Zatrzymamy się w moim weekendowym domku w Górach Błękitnych. Tam właśnie jedziemy.

- Nigdy mi nie mówiłaś, że masz jakiś weekendowy domek w górach.

- Zapomniałaś, Jack. Na pewno ci kiedyś o tym opowiadałam. Ten domek otrzymałam po rozwodzie w wyniku podziału majątku.

- Nigdy mi nie mówiłaś, że jesteś rozwiedziona. Nie! To akurat mi chyba mówiłaś. Sam już chwilami nie wiem, o czym zapomniałem, a co pamiętam. Przeklęta dachówka! - zirytował się Jack.

Hannah zaczęła go uspokajać, przywołując na twarz łagodny uśmiech:

- Nie denerwuj się, kochanie, bo tylko sobie niepotrzebnie zaszkodziś. Głowa do góry, wszystko będzie dobrze! Doktor zapewniał mnie, że absolutnie nic ci nie grozi, że to fatalne uderzenie nie spowodowało żadnych trwałych uszkodzeń, żadnych niebezpiecznych urazów, tylko przejściowy szok. W ciągu kilku najbliższych dni powinieneś dojść do ładu z własną pamięcią.

- Mam nadzieję - mruknął Jack. - A na razie ty mi z łaski swojej przypomnij, czy byłem już kiedyś w tym twoim domku w górach, czy nie?

- Nie, nie byłeś - odpowiedziała Hannah, nie rozmijając się z prawdą.

- Też mi się tak zdawało, ale wolałem się upewnić. Która godzina?

- Już ósma - odpowiedziała Hannah, zerkając na zegarek. - Przespałeś prawie całą drogę z Sydney, Jack. Niedługo już będziemy na miejscu, zostało nam do przejechania nie więcej niż parę mil. Jak się w tej chwili czujesz, kochanie, trochę lepiej?

- Chyba tak - odparł Jack raczej niepewnie, obmacując sobie głowę. - Chociaż jeszcze mnie boli.

- Lekarz mówił, że głowa ma pełne prawo cię boleć jeszcze przez jakiś czas. Ważne, żeby nie wystąpiły mdłości i wymioty, bo wtedy trzeba by zaraz wracać do szpitala. Nie jest ci czasem niedobrze, kochanie?

- Nie, tylko ta głowa mi pęka. No i ciągle nie pamiętam, co i jak. Zupełnie, na przykład, nie pamiętam, ani w ząb, w jaki sposób doszło do naszych zaręczyn. Kiedy myśmy się właściwie zaręczyli? Niedawno? No bo ja przypominam sobie jeszcze maj, ale czerwca to już ani trochę. A teraz podobno jest lipiec. Te ostatnie tygodnie zupełnie mi uciekły. Od kiedy jesteśmy zaręczeni?

Hannah, zarumieniwszy się ze wstydu, że musi kłamać Jackowi w żywe oczy, zaczęła się co nieco plątać w wyjaśnieniach:

- Właściwie to... No tak, od niedawna, masz całkowitą rację,

dopiero od kilku dni... Zareczyliśmy się... ostatnio, dopiero w tym tygodniu.

- A jak do tego doszło?

- No cóż, tak jakoś - kontynuowała Hannah swój nieco chaotyczny wywód. - Niewiele ponad rok temu zatrudniłeś mnie jako swoją sekretarkę.

- To wiem.

- I tak się jakoś sprawy potoczyły, że... No, po prostu doszło do naszych zaręczyn i z sekretarki awansowałam na narzeczoną!

- Musieliśmy najpierw nawiązać jakiś łóżkowy romans, prawda?

Hannah nie odpowiedziała na to trochę bezceremonialne pytanie. Zażenowana milczała, zaciskając dłonie na kierownicy, wpatrując się uporczywie w oświetlany przez reflektory samochodu odcinek drogi i absolutnie nie mając odwagi spojrzeć w stronę Jacka.

- No, nie wstydz się, kobieto! Przecież zawsze mi się podobałaś, więc chyba nic w tym dziwnego, że musiało w końcu do czegoś między nami dojść - skonstatował Jack. - Chociaż ja nic nie pamiętam. I strasznie tego żałuję! - dodał z filuternym uśmiechem. - Tylko, wiesz co, Hannah? - Jack znów spoważniał, z wyraźnym wysiłkiem starając się powiązać w jakąś logiczną całość strzępy zapamiętanych faktów. - Ja, prawdę mówiąc, trochę się dziwię, jak to się stało, że zdecydowałaś się ze mną zaręczyć. Przypominam sobie przecież doskonale twoje słowa. Tak, to akurat doskonale sobie przypominam: "Ani myślę drugi raz wychodzić za mąż, kto się raz sparzy, ten na zimne dmucha!". Nieraz coś takiego powtarzałaś, prawda?

Hannah zacisnęła dłonie na kierownicy jeszcze mocniej i speszyla się jeszcze bardziej. Bąknęła wymijająco:

- Może tak kiedyś myślałam, skoro mówiłam, ale widocznie nie ma sensu się zarzekać.

Jack roześmiał się serdecznie i przytaknął:

- Święta racja, kobieto, nie ma sensu! Nie warto! No, w takim razie opowiedz - nie dawał za wygraną - jak się ten romans pomiędzy nami rozpoczął? Nie trzymaj biednej ofiary wypadku w niepewności.

Nie mając innego wyjścia, Hannah zaczęła zmyślać na poczekaniu historię rzekomego romansu szefa firmy i jego rozwiedzionej sekretarki.

- Wiesz, Jack, to wszystko się zaczęło akurat tego dnia, kiedy... Kiedy odebrałam moje papiery rozwodowe! Miałeś jakąś pilną papierkową robotę do wykończenia, pracowaliśmy razem długo po godzinach. Byłam w fatalnym nastroju, rozplakałam się w pewnym momencie, ty zacząłeś mnie pocieszać i tak jakoś... Tak jakoś to się stało.

- Hannah, czy chcesz powiedzieć, że cię uwiodłem, wykorzystując twoją chwilę słabości? A może zaszłaś ze mną w ciążę i dlatego się pobieramy?

- Coś ty, Jack? Nie! To znaczy... Nie, ja nie jestem w ciąży. I ty wcale mnie nie uwiodłeś. Ja sama chciałam się z tobą kochać.

Uff! Prawdopodobna z natury Hannah nawet nie przypuszczała, że tak trudno jest logicznie kłamać. Tymczasem dociekliwy Jack wypytywał ją dalej:

- To znaczy, Hannah, że na samym początku połączył nas tylko seks, a dopiero potem... jak by tu rzec... no, coś więcej. Czy tak?

- Nie! To znaczy, nie całkiem.

- Nie rozumiem.

- Jack, przecież nie da się tego wszystkiego tak do końca zrozumieć. To była nagła decyzja, z tymi naszymi zaręczynami, zupełnie niespodziewana sprawa. Zadziałał jakiś taki nagły impuls i już! Ja myślę, Jack... Myślę, że w razie czego zupełnie łatwo można by wszystko odwołać, odkręcić. Przecież ty nawet zaręczynowego pierścionka jeszcze nie zdążyłeś mi kupić!

- Odwołać? - obruszył się Jack. - Kobieto, chcesz odwołać nasze zaręczyny z powodu jakiegoś głupiego pierścionka? Przecież mogę ci kupić nawet dziesięć zaręczynowych pierścionków, kiedy tylko wrócimy po weekendzie do Sydney, nawet sto!

- Jack, nie! Wcale nie o to mi chodziło. - Hannah poczuła, że zaczyna się plątać w swych własnych słowach, niczym w sieci. - Miałam na myśli taką... awaryjną sytuację. Gdyby na przykład któreś z nas nagle zmieniło zdanie co do zaręczyn. Na przykład ty!

- Ja? - szczerze zdziwił się Jack. - Nigdy, przenigdy! Przecież od razu na samym początku wpadłaś mi w oko, Hannah, już ci mówiłem. Jak tylko się zjawiłaś w "Marshall Homes", w poszukiwaniu pracy. Żadna kobieta, nigdy w życiu, bardziej mi się nie podobała niż ty, Hannah! Od razu miałem chęć do ciebie wystartować, to znaczy trochę

się do ciebie pozalecać. No, ale wiesz, tak często pomstowałaś na mężczyzn i małżeństwo, że mi zabrakło odwagi!

- Skoro tak często pomstowałam, to widocznie miałam swoje powody.

- Hannah, ale z mojej strony chyba nie, prawda? - zaniepokoił się Jack. - Mam nadzieję, że byłem wobec ciebie w porządku?

- Ależ tak! Ty zawsze byłeś wobec mnie w porządku, Jack, w najlepszym porządku, oczywiście, że byłeś! - pospiesznie przyświadczyła Hannah.

- Bo widzisz - ciągnął swoje zwierzenia Jack - ja kiśdyś byłem... mhm... dość niefrasobliwy, jeśli chodzi o sprawy damsko-męskie. Można by chyba nawet powiedzieć, że uganiałem się za spódniczkami! Zmieniałem często przyjaciółki i sympatie, szukałem coraz to nowych atrakcji i strasznie łatwo zapominałem o wszystkim, co było wcześniej. Nie przejmowałem się prawie niczym w tej dziedzinie. Ale ostatnio doszedłem do wniosku, że taki tryb życia właściwie mi nie odpowiada, że potrzebuję jakiejś kobiety na stałe, na całe życie. I że oczekuję od tej kobiety uczucia, a nie tylko seksu. Ty, Hannah, stałaś się dla mnie tą szczególną, wyjątkową kobietą. Kimś bardzo ważnym w moim życiu.

Hannah była kompletnie zaszokowana tym, co usłyszała właśnie z ust szefa.

Jack Marshall miałby być już od dawna nią zainteresowany? I może nawet w niej zakochany? A równocześnie zauroczony Felicią Fay? Nie! Na pewno nie równocześnie, sprawa z Felicią wyniknęła przecież ostatnio, Jack tego okresu swojego życia w tej chwili nie pamięta, pamięta tylko to, co było przedtem! Czy to znaczy, że wszystko, co jej wyznał przed chwilą, jest w istocie już nieaktualne? Czy to znaczy, że będzie musiała puścić te jego zwierzenia w niepamięć, skoro tylko on odzyska pamięć?

No tak, będzie musiała, z całą pewnością! Chociaż trochę szkoda.

Szkoda? No nie, bez przesady, przecież naprawdę ani nie podkochuje się w Jacku Marshallu, ani nie jest z nim zaręczona. I nie wiezie go w góry, żeby z nim romansować, tylko żeby się nim zaopiekować podczas rekonwalescencji i coś ważnego mu przy okazji wyjaśnić. I wcale nie zamierza komplikować sobie własnych osobistych spraw, lepiej czy gorzej, ale nareszcie jakoś tam ostatnio uporządkowanych. Chce przecież tylko, jako lojalna i rozumna sekretarka, uchronić Jacka, swojego szefa, przed niepotrzebnymi



życiowymi komplikacjami, w jakie z całą pewnością wpędziłoby go to bezsensowne małżeństwo z Felicią Fay!

*Rozsądek, rozsądek przede wszystkim, tego mi w tej chwili potrzeba!* - powtarzała sobie Hannah w myślach. Rozsądek, opanowanie i zimna krew!

A Jack tymczasem mówił dalej:

- Jakie to dziwne, swoją drogą! Pamiętam cię dokładnie, Hannah, jako wspaniałą sekretarkę, a zupełnie nie jestem w stanie przypomnieć sobie ciebie jako mojej... mhm... kochanki. Wcale na przykład nie pamiętam naszego pierwszego razu! Do licha, przecież w ten sposób bezpowrotnie straciłem coś bardzo ważnego, coś szczególnego! Przeklęta dachówka. Och, Hannah!

Jack westchnął ciężko i boleśnie, po czym spojrzał na Hannah takim wzrokiem, że poczuła równocześnie przenikający ją ogień i dreszcz. Ogień rumieńca na policzkach, a dziwny, niepokojący dreszcz na całym ciele. Uświadomiła sobie, że już dawno, już bardzo dawno nie zareagowała w taki sposób na spojrzenie mężczyzny. A może po prostu od dawna żaden mężczyzna w taki akurat, otwarcie pożądlivy sposób na nią nie spoglądał?

*O Boże! Przecież jeśli Jack mnie pożąda i równocześnie jest przekonany, że jesteśmy zaręczeni i że już wkrótce zamierzamy się pobrać* - uświadomiła sobie nagle Hannah - *to będzie chciał, na pewno będzie chciał, żebyśmy poszli tej nocy razem do łóżka!*

Czegoś takiego, prawdę powiedziawszy, nie przewidziała, pakując się dość pochopnie w tę ryzykowną intrygę z udawaniem narzeczonej szefa.

Zerknęła ukradkiem z ukosa na siedzącego obok niej Jacka Marshalla. Wydał się jej taki potężny! Taki silny! I taki męski. Niedźwiedź? A może raczej buhaj?

- Wiesz co? - odezwała się, nawiązując do ostatnich słów Jacka i próbując ratować się fortem z nieprzewidzianej opresji. - Nie chciałabym, żeby doszło pomiędzy nami do jakichś... mhm... intymności, dopóki ty pamiętasz mnie tylko jako swoją sekretarkę. Strasznie głupio bym się czuła w takiej sytuacji!

- Rozumiem cię, Hannah - zgodził się Jack. - No, ale mam nadzieję - dodał po krótkiej pauzie - że tak, jak zapowiadał lekarz, szybko odzyskam pamięć, bardzo szybko, najlepiej jeszcze w czasie tego weekendu! I że wtedy... że wtedy również odzyskam ciebie, Hannah,

pod każdym względem!

Hannah milczała, zaczerwieniwszy się jeszcze mocniej niż przedtem.

*Całe szczęście, że on nie widzi w ciemności tego mojego nieszczęsnego rumieńca, pomyślała z ulgą. Mogę się bez obaw czerwienić, ile wlezie. Ale do czasu, niestety, tylko do czasu, póki jedziemy samochodem, pomyślała z żalem. Przecież już dojeżdżamy, zaraz będzie ta leśna przecinka. A tam w domu jest światło i wszystko będzie widoczne jak na dłoni, niestety!*

Hannah skręciła w wąską, boczną drogę prowadzącą przez las wprost do celu ich podróży, czyli do weekendowego domku w górskim pustkowiu, zakupionego w swoim czasie przez doktora Dwighta Althorpa i w wyniku przeprowadzonego sędownie podziału majątku przekazanego przez niego z bólem serca byłej żonie.

- Ależ to odludne miejsce! - zauważył Jack po paru chwilach jazdy mrocznym i wyboistym duktem.

- Domków jest kilka, ale stoją na tyle daleko od siebie, że poprzez gęstwinę zupełnie nie widzi się sąsiadów - wyjaśniła Hannah. - Będziesz miał absolutny spokój, tak jak ci lekarz zalecił. Poleżysz sobie trochę, odpoczniesz, prześpisz się.

- A czy nie zmarznę sam w łóżeczku? - zapytał z maskowaną figlarnym uśmiechem nadzieją.

- Nie ma obawy! - rozczarowała go Hannah. - W dużym pokoju jest kominek, a w kuchni taki akumulacyjny piec, opalany drewnem. Kiedy napalę tu i tam, cały dom się nagrzej i będzie ci ciepło jak w uchu!

- Ale na tym deszczu drewno pewnie zamokło i nie będzie chciało się palić! - Jack, niczym tonący przysłowiowej brzytwy, chwycił się ostatniej szansy na spędzenie nocy we wspólnym z Hannah pośnaniu.

- Nie ma obawy! - powtórzyła, z trudem tłumiąc chichot. - Tak się złożyło, że w poprzedni weekend przygotowałam na zapas sporo drewna i na wypadek deszczu przezornie zmagazynowałam je pod dachem.

- Niesamowita jesteś, Hannah! - oznajmił z nie ukrywanym podziwem Jack.

Po czym westchnął tyleż ciężko, co bezradnie i zapytał:

- Kobieto, czy absolutnie nic nie jest w stanie cię zaskoczyć?

Hannah wybuchnęła głośnym śmiechem. Zirytowany w pierwszej chwili Jack Marshall już za moment zawtórował jej swoim głębokim basem. Nagle jednak zreflektował się i ucichł. Zagadnął Hannah podejrzliwie:

- To byłaś tu w poprzedni weekend? Sama? A co ja wtedy robiłem?

- Pracowałeś, jak zwykle - palnęła niemal bez zastanowienia Hannah. - Przecież często ci się zdarza harować przez całe weekendy!

- Nnno, fakt - zgodził się Jack, jakkolwiek z pewnym wahaniem. - Ale przecież żaden normalny facet nie pracuje w weekend zaraz po własnych zaręczynach!

- To było jeszcze przed zaręczynami, Jack. Przecież ci mówiłam, że zaręczyliśmy się dopiero w tym tygodniu.

- Jasne, mówiłaś. Więc pracowałem?

- Tak, miałaś jakieś pilne i ważne sprawy do załatwienia - wyjaśniła Hannah, dodając już tylko w myślach: *w towarzystwie tej wydry Felicii!* - A ja wyskoczyłam do domku, żeby go trochę wysprzątać i przewietrzyć, zanim zawiozę tam chłopaków w czasie ferii.

- Chłopaków? - zdziwił się Jack. - No tak, chłopaków, na ferie, jasne, masz dwóch synów, Chrisa i Stuarta, pamiętam, przecież się nawet kiedyś poznaliśmy, przyszli zobaczyć, gdzie pracujesz. Kapitalni z nich faceci! Czy twoi chłopcy już o nas wiedzą, Hannah?

- Wiesz, Jack... - Hannah zaczęła trochę kluczyć, próbując odwlec kłopotliwy moment udzielenia konkretnej odpowiedzi na konkretne pytanie - ...jak moi chłopcy cię poznali, to też stwierdzili, że jesteś kapitalnym facetem!

- Miło coś takiego usłyszeć. A co powiedzieli, jak się dowiedzieli, że my...

- Nnno, nic. Nie dowiedzieli się jeszcze! - Przyparta do muru Hannah musiała się w końcu zdecydować na jakąś wersję zmyślonego przebiegu wydarzeń. - Jeszcze nie zdążyłam im nic powiedzieć, Jack! Przecież ta sprawa z naszymi zaręczynami wyniknęła dopiero w ostatnich dniach, w tym ostatnim tygodniu.

- No tak, racja. W takim razie ciekawe, co powiedzą, kiedy usłyszą, że ich piękna mama...

Hannah nie pozwoliła Jackowi dokończyć zdania. Aby zmienić

temat rozmowy, przerwała mu, zauważając z troską w głosie:

- Och, nie powinieneś się tym przejmować, Jack, przynajmniej nie w tej chwili! Lekarz zalecił ci spokój i wypoczynek. Wszystko się jakoś ułoży, najlepiej o niczym teraz nie myśl. Po co łamiesz sobie niepotrzebnie tę obolałą głowę?

- Oj, obolałą, faktycznie, nie da się ukryć! - przyświadczył Jack.

- No właśnie. Ale poza tym dobrze się czujesz?

- Poza tym, raczej tak.

- Jak trochę sobie spokojnie poleżysz, odpoczniesz, to i ten ból głowy powinien ci ustąpić. O, zobacz, już jesteśmy na miejscu!

Hannah zatrzymała samochód na niezbyt rozległym podjeździe przed całkiem sporym domostwem o kamiennych ścianach i krytym blachą spadzistym dachu, zwieńczonym dwoma kominami.

- Całkiem niezła ta twoja chatynka! - stwierdził Jack. - I jaki ładny ma ganek.

- Ten frontowy ganek to maleństwo, ale z drugiej strony jest jeszcze obszerna weranda, z widokiem na góry - poinformowała nie bez dumy Hannah. - A w środku mam dwie małe sypialenki, spory salonik z kominkiem i dużą kuchnię ze spiżarnią, w której urządziłam sobie pralnię. Łazienka też oczywiście jest, będziesz miał wszystkie wygody podczas rekonwalescencji!

- Och, Hannah, wystarczy, że ty ze mną będziesz, to na pewno zaraz ozdrowię! A co do wygod, to ja wcale nie jestem przesadnie wymagający. Wiesz, jak to jest, żyło się kiedyś w różnych warunkach, i to nie zawsze w luksusie.

Hannah pokiwała głową. Jack w istocie nigdy nie robił na niej wrażenia wygodnisia wychowanego w cieplarnianych warunkach, blizna po bójce na noże też mogła być oczywistym dowodem na to, że z niejednego pieca jadał w życiu chleb, zanim został poważnym biznesmenem i doszedł do pokaźnego majątku, jakim obecnie dysponował.

- No, w każdym razie domek jest sympatyczny, powinien ci się spodobać - stwierdziła. - Ja po prostu uwielbiam to miejsce, przyjeżdżam tu z chłopakami najczęściej, jak tylko mogę! Za to Dwight, mój były mąż, raczej niechętnie się tu zjawiał - dodała. - Zawsze w ostatniej chwili znajdował sobie jakąś wymówkę, żeby nie jechać z nami na weekend w Góry Błękitne. Ech, szkoda mówić, od lat kombinował na boku i tyle! W

końcu musiało się wszystko między nami rozlecieć, nic przecież bardziej nie szkodzi małżeństwu niż nieuczciwość którejś ze stron.

- Racja! Uczciwość to podstawa, Hannah, i w małżeństwie, jak myślę, i w biznesie. Co do biznesu, to jestem nawet pewien! A co do małżeństwa? No, nie miałem jeszcze okazji posmakować tego specjału, ale przecież już niedługo przekonam się na własnej skórze.

- No to wysiadamy! - Hannah energicznie przerwała Jackowi wywód, nie pozwalając, by wymiana zdań zesłała na grząski grunt ich rzekomego narzeczeństwa i planowanego rychłego mariażu. - Na ganku, pod doniczką z pelargoniami, jest klucz, otwórz z łaski swojej drzwi, a ja wezmę z bagażnika twoje rzeczy.

- Kobieto, ja sam wezmę swoje rzeczy! - sprzeciwił się Jack.

- Nie tak prędko, mój drogi. Na razie nie wolno ci jeszcze niczego dźwigać, nawet podróżnej torby z drobiazgami. Lekarz zabronił!

- Aha. A skąd się właściwie wzięły moje rzeczy w twoim samochodzie, Hannah? - z niezwykłą przytomnością umysłu zapytał Jack.

- Wstąpiliśmy po nie w drodze ze szpitala.

- Dziwne, nic nie pamiętam.

- Bo po środkach uspokajających, które ci zaaplikowali na odjeździe w szpitalu, spałeś na siedząco w samochodzie jak zabity. Sama musiałam wysiąść i spakować ci to i owo na wyjazd.

- Och, Hannah, co ja bym począł bez ciebie?

- Na razie otwórz beze mnie te drzwi.

- Okay. To chyba da się zrobić, nawet z moją niesamowicie obolałą głową i czarnymi dziurami w pamięci! Już wysiadam, Hannah, i otwieram, tylko jeszcze...

Jack nieoczekiwanie zrobił coś, co wprowadziło Hannah w przerażenie i osłupienie. Po prostu ni stąd, ni zowąd, pocałował ją. W usta! Dwa razy!

Ten pierwszy pocałunek to było właściwie tylko delikatne muśnięcie wargami jej ust, ale natychmiast nastąpił drugi, już całkiem inny, namiętny, prawdziwie narzeczeński.

*Nie, absolutnie nie powinnam mu na coś takiego pozwalać! - myślała gorączkowo Hannah. To przecież nawet nieuczciwe z mojej*

*strony. Muszę mu jak najszybciej wszystko wyjaśnić, powiedzieć całą prawdę, bo tak, to on właściwie sam nie wie, co robi.*

Jack Marshall, prawdę mówiąc, dobrze jednak wiedział, co robi. Chyba aż nazbyt dobrze! Tak dobrze, że Hannah nie była w stanie oprzeć się jego pocałunkom. Przynajmniej nie od razu.

Dopiero po dłuższej chwili oprzytomniała nieco, szarpnęła energicznie głowę do tyłu i krzyknęła:

- Jack, nie!

- Dlaczego nie? - zdziwił się. - Dlaczego nie wolno mi pocałować własnej narzeczonej?

Hannah, oprzytomniawszy już całkiem, wytłumaczyła mu rezolutnie:

- Z tego samego powodu, dla którego nie wolno ci podnosić nic cięższego. Z powodu twojej obolałej głowy! Pamiętaj, Jack, lekarz zabronił ci na razie jakichkolwiek wysiłków i jakichkolwiek wzruszeń. Musisz uważać.

- Przeklęta dachówka, niech ją wszyscy diabli!

- Nie denerwuj się, przecież tego też ci lekarz zabronił. Spokojnie wysiądź i poszukaj klucza, jest pod pelargonią.

Jack uśmiechnął się figlarnie i zapytał:

- A doniczkę wolno mi dźwignąć, kochanie?

Hannah, mimo zdenerwowania i zmęczenia całą sytuacją, roześmiała się w głos i stwierdziła:

- Rozbrajający jesteś, Jack, słowo. daję. Taką małą to wolno, czemu nie, a klucz też nie jest ciężki. No, wysiądźże wreszcie, człowieku! I pamiętaj: w ten weekend musimy się zachowywać jak para przyjaciół, a nie jak para narzeczonych! Wiesz, lekarz ci zabronił.

- Wcale nie jestem pewien, czy go posłucham! - mruknął Jack, wysiadając z samochodu.

Hannah również wysiadła.

- Jack, nie wygłupiaj się, bardzo cię proszę! - oznajmiła śmiertelnie poważnym tonem. - Dopóki całkiem nie wydobrzejesz, nie odzyskasz pamięci, nasze stosunki muszą pozostać całkowicie... mhm... oficjalne. Albo nazwijmy to inaczej, jeśli wolisz: platoniczne!

- A może ja już odzyskałem pamięć? Co ty na to, Hannah? - nie dawał za wygraną.

Hannah nie pozwoliła się zaskoczyć.

- Co ja na to? Ja na to, że mnie nabierasz i tyle!

Jack westchnął ciężko i stwierdził zrezygnowany:

- No cóż. Jak widzę, muszę się na razie poddać. Ale kto wie, Hannah, może szala zwycięstwa jeszcze się przechyli na moją stronę, kto wie?

### ROZDZIAŁ TRZECI

Szala zwycięstwa... kto wie? - rozmyślała Hannah kilkanaście minut później, rozpalając ogień w kominku w salonie i popatrując od czasu do czasu z zakłopotaniem na Jacka, który, odświeżony po podróży i przebrany w granatową jedwabną piżamę, zgodnie z zaleceniem lekarza wypoczywał już na sofie.

A może w ogóle nie będzie żadnych zwycięzców, tylko sami przegrani? - zastanawiała się Hannah. *Ja przegram, bo Jack nie uwierzy w moją opowieść o Felicii i Boyntonie, wścieknie się i wyrzuci mnie z pracy. A on przegra, bo mi nie uwierzy i da się usidlić tej kobiecie. Albo przegra w inny sposób, po prostu się rozczaruje, jeśli nie pójdę z nim do łóżka, kiedy nie zechcę... Bo przecież on mi się w zasadzie nie podoba, chociaż ja jemu rzekomo tak. I wtedy też się wścieknie, i też wyrzuci mnie z pracy! Aha, więc tak czy inaczej, to ja wyjdę z tego wszystkiego najbardziej przegrana. Do licha, kłamstwo chyba naprawdę ma krótkie nogi i do niczego sensownego nigdy nie prowadzi! Czyli... Wniosek jest prosty, trzeba Jackowi powiedzieć całą prawdę i to jak najprędzej! No, może nie od razu w tej chwili, jest przecież jeszcze w szoku po wypadku, lekarz zalecił mu absolutny spokój, całkowity relaks. Ale może jutro rano, jak się prześpi? Sam, oczywiście! Tak, może jutro.*

Hannah po raz kolejny zerknęła na Jacka. Uśmiechnął się do niej i powiedział:

- Kobieto, nie mogę wyjść z podziwu, jak świetnie sobie radzisz z

tym kominkiem!

- Mam wprawę - odparła Hannah. - Dwight rzadko mnie wyręczał w rozpalaniu ognia, bał się o te swoje bezcenne, delikatne dłonie chirurga. Dlatego umiem nawet rąbać drwa na opał!

- Niesamowita jesteś! Jak tylko wydobrzeję, narąbię ci drewna, ile tylko zechcesz, nie będziesz już się musiała z tym męczyć. Dla mnie taka robota to pestka!

- Nie wątpię.

Hannah spojrzała na pokaźne, męskie co się zowie dłonie Jacka, w których trzymał kubek z gorącą czekoladą.

*Oto dłonie godne drwala, można śmiało tak powiedzieć!* - pomyślała.

W zasadzie Hannah nigdy nie gustowała w potężnych, atletycznie zbudowanych, "dużych i silnych" mężczyznach, zawsze podobali jej się raczej filigranowi faceci w typie Dwighta Althorpa - średniego wzrostu, smukli, urodziwi i eleganccy. Tymczasem Jack Marshall nie pomyślał nawet o tym, żeby się po przyjeździe ogolić, więc mimo wykwintnej piżamy z naturalnego jedwabiu, jaką miał na sobie, z obfitą szczecina na podbródku i policzkach przypominał raczej trapera niż biznesmena.

*Traper, czyli właściwy facet na właściwym miejscu, tu, w lesie,* pomyślała Hannah. *Ale czy właściwy facet w moim życiu? Jest dla mnie bardzo miły, to fakt, często mnie chwali, komplementuje. A na przykład Dwight nie robił tego nigdy, ciągle tylko sam domagał się podziwu i uznania! No tak, ale Dwighta kochałam, może nawet jeszcze Kocham, chociaż koniec końców okazał się niezłym draniem. A Jack? Cóż, całuje niezłe, robi wrażenie, kiedy weźmie w te swoje niedźwiedzie objęcia. Ale... Kto wie, czy jak się wścieknie, kiedy pozna prawdę, nie połamię mi kości tymi samymi rękoma, którymi niedawno mnie przytulał?*

Ogień na kominku zapłonął jasnym, stabilnym płomieniem. Hannah wyprostowała się, wytarła dłonie o stare, sprane, ale niezwykle wygodne i niesamowicie ukochane dżinsy i oznajmiła:

- Gotowe.

Jack znowu się do niej uśmiechnął.

- Wiesz, Hannah, fajnie ci w spodniach - powiedział. - Ja właściwie nie przepadam za taką typowo biurową elegancją u kobiet. Denerwują mnie te wszystkie bluzeczki, spódniczki, żakieciki, kostiumiki, apaszki. Wolę cię w dżinsach i flanelowej koszuli, tak jak



teraz.

- Też wymyśliłeś! - obruszyła się Hannah. - Nie patrz tak na mnie, proszę, włożyłam te stare ciuchy specjalnie do znoszenia drewna i rozpalania ognia, zaraz też się przebiorę w jakieś jedwabie.

- No, no, no, tylko nie wyśmiewaj się z mojej piżamy, kobieto, skoro sama mi ją wyciągnęłaś z komody i zapakowałaś na ten wyjazd! - odciął się Jack. - Dostałem kiedyś to cudo w prezencie, sam przecież nigdy bym sobie czegoś takiego nie kupił. Ja zresztą w ogóle nie uznaję piżam, wyobraź sobie, że śpiam zawsze jak mnie Pan Bóg stworzył.

- O, nie! Lepiej sobie czegoś takiego nie wyobrażać. Za silny szok - mruknęła Hannah.

Uświadomiła sobie z niepokojem, że choć próbuje żartować, to czuje w całym ciele mimowolne mrowienie, jakiego nie doświadczała już chyba od wieków. Jack wciąż uparcie patrzył na nią tak, jakby próbował rozebrać ją wzrokiem. A ona? Prawdę powiedziawszy, nawet nie była pewna, czy ma mu to za złe! I wcale nie była pewna, czy ma chęć go ofuknąć, kiedy powiedział:

- Lubię kobiety ubrane swobodnie, na sportowo, bo zawsze mi się wydają bardziej... mhm... przystępne od tych wszystkich wymuskanych businesswomen. Nadmierna elegancja jakoś mnie chyba... onieśmiela. Ale wiesz co, Hannah? Gdybyś przychodziła w tych dzinsach do biura, to chyba w ogóle nie mógłbym się skupić na robocie!

Wygłosiwszy ten oryginalny komplement, Jack odstawił kubek z nie dopitą czekoladą na ustawiony obok sofy niski stoliczek, dźwignął się z dotychczasowej półleżącej pozycji i usiadł.

- Chodź, kochanie, odpocznij sobie trochę po tej ciężkiej robocie, zrobiłem ci miejsce na sofie - oznajmił.

Hannah popisała się nie lada reflekssem, odparowując z miejsca:

- Usiądę sobie na tej drugiej, Jack, a ty natychmiast kładź się z powrotem i grzecznie leż, tak jak ci doktor zalecił!

- Już dosyć się należałem! - jęknął. - Chodź, Hannah, na pewno będziesz dla mnie najlepszym lekarstwem. No, chodź! Boisz się, czy co?

- Żartujesz, czy co? - Hannah odparowała pytanie pytaniem, przedrzeźniając przy okazji Jacka.

- Mówię poważnie! Coś mi niepewnie wyglądasz, kobieto. Powiedz mi szczerze: o co chodzi?

Hannah zdawała sobie sprawę, że oto nadarza się jej wspaniała okazja do wyznania Jackowi Marshallowi całej kłopotliwej prawdy. Milczała jednak. Nie była w stanie zebrać myśli i sklecić paru prostych zdań. Nie mogła jakoś zdobyć się na odwagę!

Jack nalegał:

- Hannah, czy coś wyszło nie tak pomiędzy nami w tym czasie, którego ja nie pamiętam? A może wyniknęły jakieś problemy gdzieś indziej, w jakiejś innej dziedzinie? Czyżby w interesach? - zaniepokoił się nie na żarty. - Do licha, głupio byłoby windować się znów od początku z tego dna, na jakim się kiedyś było!

Hannah poznała w ogólnym zarysie z biurowych opowieści historię życia Jacka Marshalla. Wychowywał się w sierocińcu. Od czternastego roku życia pracował fizycznie na budowie, ucząc się równocześnie zawodu. Wiele wysiłku, wiele potu musiał z siebie wycisnąć, zanim zdołał założyć własną maleńką firmę budowlaną, a później jeszcze więcej - zanim udało mu się ją przekształcić w jedną z największych firm budowlanych w całej Nowej Południowej Walii.

Uspokoila go pospiesznie:

- Nie, Jack, nie! W interesach wszystko jest w najlepszym porządku, zapewniam cię! W ogóle wszystko jest w porządku. Wiesz co? - zagadnęła. - Ja też mam ochotę napić się czekolady, pójdę sobie zrobić. A ty się spokojnie połóż. Wszystko jest w najlepszym porządku, Jack, w interesach i w ogóle. No, zaraz wracam, a ty spokojnie leż i niczego niepotrzebnie nie wymyślaj.

Hannah wyszła, a właściwie wybiegła do kuchni. Aż trzęsły jej się ręce, tak była wściekła na samą siebie. Po pierwsze o to, że pozwoliła sobie na wybryk z udawaniem narzeczonej poszkodowanego w wypadku szefa. A po drugie o to, że nie zdołała mu się do tego wybryku przyznać. Drżącymi dłońmi ostrożnie wyjęła z kuchennego kredensu kubek, wsypała do niego porcję sproszkowanej czekolady. Już miała ją zalać gorącą wodą z czajnika, gdy usłyszała przeraźliwy okrzyk Jacka:

- O Boże, Hannah!

Zapominając o czekoladzie, wypadła w pośpiechu z kuchni i wpadła do saloniku. Jack siedział na sofie z twarzą ukrytą w dłoniach.

- Na miłość boską, co ci się stało, Jack? - spytała z niepokojem, pełna najgorszych przeczuć Hannah. - Źle się poczułeś?

- Nie, nie, to nie to! - zaprzeczył Jack energicznie. - Przepraszam

cię, Hannah, że tak wrzasnąłem, ale to był po prostu odruch. Wiesz, nigdy w życiu nie doświadczyłem czegoś takiego jak przed chwilą. Miałem... mhm... miałem chyba jakąś wizję! To było naprawdę coś niesamowitego, nagle przeleciała mi przed oczyma seria obrazów, bardzo wyraźnych obrazów, coś jakby film. Tak, to było zupełnie jak film, nawet w kolorze. Tyle że bez dźwięku.

Hannah pomyślała z przestraszaniem: A jeśli ten biedak dostał wysokiej gorączki i zaczął właśnie bredzić w malignie?

Przysiadła na sofie obok Jacka. W milczeniu dotknęła dłonią jego czoła, sprawdzając, czy nie jest przypadkiem rozpalone. Ponieważ było chłodne, uspokoiła się nieco i zapytała z zaciekawieniem:

- A co przedstawiały te obrazy, Jack? Co właściwie przedstawiał ten twój film?

- Mniej więcej coś takiego: jest duża sala, a może raczej salon. I w tym salonie mnóstwo ludzi, wszyscy elegancko wystrojeni. Ja ich wyraźnie widzę, ale prawie nikogo nie rozpoznaję, poza jedną taką sztywną blondyną, ubraną na niebiesko. To znaczy, jej też nie rozpoznaję z imienia czy z nazwiska, nie mam pojęcia, kto to jest, tylko twarz mi się wydaje jakaś dziwnie znajoma. Aha! Jednego faceta znam z imienia i nazwiska, to niejaki Boynton. Wiesz, Gerald Boynton, ten od sprzedaży nieruchomości. Ja go znam, Hannah, prawda?

- Nnno, tak. Trochę! - Hannah nie była pewna, co może Jackowi powiedzieć, a co powinna przed nim zataić, aby nieoczekiwanie nie przypomniał sobie w szczegółach całej wczorajszej sytuacji, która najwyraźniej po trosze zaczynała mu się już klarować w pamięci. - Gerald Boynton kręci się wokół "Marshall Homes", chciałby chyba wejść w jakieś interesy z twoją firmą. Zaprosiłeś go ostatnio na swoje, to znaczy na nasze - błyskawicznie poprawiła się - zaręczynowe przyjęcie. Boynton był z żoną, blondynką, może to właśnie ją zapamiętałeś? Ona chyba faktycznie miała coś niebieskiego na sobie.

Hannah zmyślała dość gładko, z każdym wypowiedzianym słowem coraz bardziej wściekła na samą siebie, że nie potrafi się zdobyć na ujawnienie Jackowi prawdy. Zdawała sobie sprawę, że im dalej zabrnę w kłamstwo, tym trudniej będzie jej potem z niego wybrnąć. Ale... No właśnie, po prostu nie miała odwagi!

Jack zaczął się głośno zastanawiać:

- Żona Geralda Boyntona, powiadasz. Czy ja wiem? Chyba nigdy tej kobiety nie widziałem na oczy. A może tylko jej nie pamiętam? Czy ja

wiem? Hannah - zapytał po krótkiej chwili milczenia - a kiedy właściwie odbyło się to nasze zaręczynowe przyjęcie?

- Nnno... wczoraj - odpowiedziała Hannah z pewnym zakłopotaniem. - To znaczy w czwartek, a dzisiaj mamy piątek. Dzisiaj, to znaczy w piątek rano, przydarzył ci się ten fatalny wypadek, Jack, a teraz jest już wieczór.

- To wiem! - Jack przerwał jej zbyt drobiazgowy wywód. - A ten Boynton... - Znów zaczął się na głos zastanawiać. - Ciekawe, dlaczego akurat jego jednego udało mi się rozpoznać w tym całym eleganckim tłumie?

- Może dlatego, że nachodził cię ostatnio w biurze? - Hannah usiłowała podsunąć Jackowi jakieś w miarę sensowne, prawdopodobne wyjaśnienie nekającego go problemu. - Proponował ci podobno jakieś wspólne interesy, tak mi przynajmniej wspomniałeś.

- Może. Więc mówisz, kochanie, że Gerald Boynton mnie... mhm... nachodził? Jak mi się zdaje, nie przepadasz za tym facetem, co?

- Nie przepadam - przyznała Hannah, tym razem zgodnie z prawdą.

- Ale dlaczego?

- Bo to jakiś taki obleśny typek!

- Obleśny? Skąd takie przypuszczenie?

- Kobieca intuicja, Jack. Ten Boynton ma coś takiego w oczach.

- Szczerze mówiąc, nie zauważyłem - przyznał Jack.

- Ba!

- No, dobrze, niech ci będzie, że obleśny, ja tam mu w oczy nie patrzyłem. A co do tych wspólnych interesów z Boyntonem. Już w to wszedłem, Hannah, czy jeszcze nie zdążyłem wejść? - zapytał Jack.

- Nie zdążyłeś, na szczęście! - wyrwało się jej mimowolnie.

- Znaczący: wolałabyś, żebym w to nie wchodził? - Jack zaczął głębiej drażnić problem.

Hannah zniecierpliwiła się i powiedziała dobitnie:

- Wolałabym przede wszystkim, Jack, żebyś nie szukał u mnie rady w sprawach związanych z biznesem! Wiesz lepiej, co i jak, przecież to ty jesteś szefem firmy, a ja tylko zwyczajną sekretarką.

- Protestuję! Nie zwyczajną, tylko nadzwyczajną, Hannah! A na dodatek zaręczoną z szefem firmy.

- Ale dopiero od niedawna! I zaręczyny to jeszcze nie ślub, Jack! Zawsze jeszcze może się coś odmienić, może na przykład zechcemy... Ty sam może zechcesz jeszcze raz przemyśleć tę trochę pochopną decyzję! - Hannah usiłowała zostawić sobie jakąś "furtkę", choćby najwęższą, przez którą w odpowiedniej chwili miałyby szansę wycofać się z kłopotliwej sytuacji.

- Ja na pewno nie! - zdeklarował się uroczyście Jack Marshall.

Zanim Hannah zdążyła zorientować się w jego dalszych zamiarach i przezornie wstać z sofy, objął ją mocno ramieniem, przyciągnął do siebie i zaczął szeptać uwodzicielskim tonem:

- Hannah, ty przecież jesteś taką cudowną kobietą! I my dwoje tak wspaniale do siebie pasujemy! Zapewniam cię, jak już mi raz jakimś cudem wpadłaś w ręce, to przepadło! Nawet nie myśl, że cię kiedykolwiek z nich wypuszczę. Ale, ale, Hannah... - Jack nagle zmienił ton i wyraźnie się zaniepokoił. - Czyżbyś ty próbowała dać mi delikatnie do zrozumienia, że sama chcesz jeszcze raz przemyśleć decyzję o zaręczynach ze mną?

Skonsternowana Hannah bąknęła dość niepewnie:

- Nie, Jack, dlaczego niby miałabym to robić...

- No, chociażby dlatego - przerwał jej Jack - że ja nie jestem takim eleganckim i wykształconym facetem, jak ten twój były mąż, doktor.

*Nie jesteś takim eleganckim i wykształconym arogansem ani takim egoistą jak mój były mąż... doktor, to prawda,* pomyślała Hannah.

I pod wpływem jakiegoś nieoczekiwanego impulsu stwierdziła:

- Nie jesteś taki jak Dwight, to prawda. Ale ja... Ja, prawdę mówiąc, bardzo się z tego cieszę, Jack. Cieszę się, że jesteś inny, zupełnie inny. Taki dobry, taki mądry, taki męski.

Ten sam nieoczekiwany impuls kazał Hannah spojrzeć Jackowi Marshallowi prosto w oczy, a potem unieść w górę dłoń i pogłodzić go nią po szczeciniastym, nie ogolonym policzku.

- Och, moja ty najdroższa kobieto - szepnął czule Jack i pochyliwszy głowę, zaczął obsypywać leciutkimi pocałunkami czoło i policzki Hannah.

Odrętwiała i bezwolna Hannah zrozumiała wówczas, że wszystko zaczyna wymykać się jej spod kontroli. Dostrzegła pożądanie w oczach Jacka i odczuła własne, przenikające całe jej ciało. Pozwoliła wziąć się Jackowi w objęcia, a sama zarzuciła mu ręce na szyję. Gdy on przybliżył usta do jej warg, ona od tyłu ujęła mocno w obie dłonie jego głowę, chcąc przyspieszyć moment połączenia się z Jackiem w pocałunku.

- Aj! - krzyknął boleśnie.

Hannah oprzytomniała w jednej chwili. Natychmiast przypomniała sobie o swoim oszustwie, a także o wypadku Jacka i o kategorycznym zaleceniu lekarza, by wypoczywał i unikał jakichkolwiek emocji czy wzruszeń. Zerwała się z sofy na równe nogi.

- Jack, strasznie cię przepraszam! - zaczęła się gorączkowo tłumaczyć z chwili słabości. - Nie gniewaj się, że ci sprawiłam ból, ja przecież całkiem zapomniałam o tej twojej biednej głowie. Tak mnie jakoś podszedłeś, tak mnie wziąłeś na te miłe słówka. Jack, tak nie można! Pamiętaj: na razie nic... no wiesz... z tych rzeczy. Tak jak powiedział lekarz: żadnych emocji, żadnych wzruszeń. Bo to ci może tylko zaszkodzić!

- Och, tylko bez przesady, Hannah! - zachnął się Jack. - Tylko raz sobie jęknąłem. Ale masz rację, na razie nic z tych rzeczy, co to ty wiesz, a ja rozumiem, bo przez ten obolały łeb na pewno mam osłabioną formę i mogłabyś nie być ze mnie zadowolona! Musimy poczekać, mhm... - zawahał się - no, chyba do jutra.

- Nie spieszmy się zanedo, Jack! Wiesz, co nagle, to po diable. - Hannah starała się za wszelką cenę ponownie odzyskać kontrolę nad sytuacją. - Nigdy, przenigdy nie zgodzę się ryzykować twojego zdrowia - dodała przezornie. - Masz się relaksować, dopóki nie odzyskasz pamięci i tyle! Tak powiedział lekarz.

- Powiedział, co wiedział - mruknął zde gustowany pouczeniami Hannah. - Zresztą, to przecież też można uznać za formę relaksu, kochanie - dodał kusicielskim tonem.

- Ale nie w tej sytuacji, kochanie! - Hannah energicznie ucięła dalszą dyskusję. - Tymczasem nie filozofuj, tylko maszeruj grzecznie do sypialni i kładź się spać. W pojedynkę!

Zrezygnowany Jack Marshall wstał z sofy i smętnie powlókł się w kierunku drzwi, pomrukując na odchodnym:

- I kto tu naprawdę jest szefem, Hannah? No, to na razie śpij

dobrze sama! Dobranoc.

- Dobranoc - odpowiedziała Hannah, lekko się uśmiechając. - Do zobaczenia jutro rano, Jack.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Sobotni poranek był pogodny i rześki, jak często zdarza się w Górach Błękitnych w lipcu, czyli w samym środku australijskiej zimy. Hannah ocknęła się wcześnie rano, kiedy tylko promienie słońca zaczęły zaglądać przez okno do sypialni.

*Zaraz, zaraz, gdzie ja właściwie jestem? Czy to moja sypialnia, czy to moje łóżko?* - pomyślała półprzytomnie w pierwszej chwili po przebudzeniu. No tak, przecież to pokój chłopców, dlatego łóżko jest takie wąskie, pojedyncze, uprzytomniła sobie niebawem. Podwójne łożo w małżeńskiej sypialni zajmuje przecież... No tak!

Kiedy Hannah uswiadomiła sobie wszystko, co zaszło poprzedniego dnia, oprzytomniała na dobre. Widząc przez szybę szron na drzewach, doszła do wniosku, że i w domu musi być niesamowicie zimno. Chcąc się upewnić, czy istotnie tak jest, ostrożnie wysunęła rękę spod kołdry. Brrr! Ziab jak licho! - skonstatowała w myślach.

Sięgnęła na nocną szafkę po zegarek, sprawdziła godzinę. Była dopiero siódma z minutami, czyli codzienna pora wstawania do pracy.

*Ale przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie wstaje w weekend tak wcześnie, więc i ja nie będę się śpieszyć.*

Co z tego, że trzeba napalić w kominku? - pomyślała Hannah nie bez odrobiny przekory. *Mogę to równie dobrze zrobić później, a tymczasem mam pełne prawo po wylegiwać się w łóżku, nawet do południa!*

Jak na gust Hannah, łóżko było jednak trochę za wąskie do wylegiwania się. Nie sypiała na takim, odkąd przeszło szesnaście lat temu wyszła za mąż. W Sydney, w swoim eleganckim mieszkaniu w ekskluzywnej śródmiejskiej dzielnicy Parramatta, miała ogromne,

królewskie wprost łożo. Tu, w weekendowym domku w górach, małżeńskie łóżko również było wcale pokaźne.

Małżeńskie, ale już bez małżeństwa, pomyślała Hannah z goryczą.

Po mężu zostały jej złe wspomnienia, domek w górach i apartament w Sydney, który Dwight Althorp kupił niedługo przed rozwodem, celowo na imię żony, żeby obniżyć sobie podatki. Przechytrzył sprawę i mieszkanie zostało do dyspozycji Hannah.

*Marna pociecha, to wielkie i puste mieszkanie, pomyślała. Jedyne prawdziwą pociechą są dla mnie moi chłopcy. No i może jeszcze fakt, że jednak daję sobie jakoś sama radę w życiu. Chociaż Dwight zawsze mi zarzucał, że jestem niepraktyczna, chaotyczna, niesystematyczna, przewrażliwiona, sentymalna, naiwna, niepoważna. Że niepotrzebnie się nad wszystkim rozczulam, na przykład nad losem bezdomnych zwierząt. Raz przygarnęłam z ulicy zabiedzonego kota, ale Dwight się uparł, żeby go odstawić do schroniska. Dwight. No tak, on to się raczej nad niczym i nad nikim nigdy nie rozczulał. Nade mną też nie, kiedy mnie zostawił dla jakiejś tam podfruwajki. Ani wcześniej, kiedy raz po raz bez najmniejszych skrępułów pozwalał sobie na jakiś nowy skok w bok!*

Hannah kręciła się i wierciła na łożku. Usnąć jakoś nie mogła. Trochę zapewne przeszkadzało jej w tym ostre poranne słońce, znacznie bardziej - przykre wspomnienia. A już najbardziej chyba niespokojne myśli związane z osobą Jacka Marshalla.

*Może Dwight miał jednak trochę racji? Może ja naprawdę jestem naiwna, niepoważna i sentymalna?* - zastanawiała się Hannah. No bo, czy rozsądna, trzeźwo myśląca kobieta, matka dzieciom, sekretarka w poważnej firmie, powinna brać sobie na głowę osobiste sprawy szefa? Czy powinna przejmować się jego pochopnymi zaręczynami i fatalnie rokującym małżeństwem? Chyba nie. A ja nie tylko się tym wszystkim szczerze przejęłam, ale jeszcze wplątałam się świadomie w tę całą bezsensowną aferę z odgrywaniem roli narzeczonej Jacka, wywożeniem go w góry. Prawda, miałam jak najlepsze intencje. No i zamierzałam jak najszybciej wszystko Jackowi wyjaśnić. Sytuacja jednak po prostu mnie przerosła, wymknęła mi się spod kontroli. Co ja właściwie powinnam teraz zrobić, jak się zachować, jak postąpić?

Na to zasadnicze pytanie Hannah niestety nie potrafiła znaleźć jednoznacznej odpowiedzi. Owszem, bardzo chciała wyznać Jackowi całą prawdę. I uwolnić się w ten sposób, jeśli nawet nie od wszystkich kłopotów za jednym zamachem, to przynajmniej od ciężaru kłamstwa. I uwolnić Jacka Marshalla od tej wyrachowanej, obłudnej Felicji! Chciała,



ale bała się. Najzwyczajniej w świecie brakowało jej odwagi!

Hannah bała się, że Jack Marshall jej nie uwierzy i Felicia bezkarnie zatriumfuje. Bała się też, że Jack Marshall wścieknie się na nią i obrazi. Miałby powody, podstępem doprowadziła przecież do tego, że wyznał jej coś, co do tej pory skrzętnie ukrywał.

Bała się więc jego reakcji, jego gniewu. Utraty pracy! I czyżby również utraty Jacka?

Na to pytanie nie zdołała sobie odpowiedzieć, gdyż nieoczekiwanie wyrwał ją z rozmyślań głośny krzyk:

- Hannah! Gdzie jesteś? Hannah!

Zaniepokojona wyskoczyła z łóżka i nie zważając na panujący w domu przenikliwy chłód, bosą, w nocnej koszuli, pobiegła do usytuowanego po przeciwległej stronie holu pokoju, w którym spał Jack. Wpadła tam i od progu zaczęła go wypytywać:

- Co się stało, Jack? Gorzej się czujesz? Masz może jakieś bóle?

Jack, siedząc na łóżku, w pierwszej chwili w milczeniu zlustrował Hannah uważnym spojrzeniem, zupełnie jakby nie był do końca pewien, kim ona właściwie jest. Dopiero po upływie kilku sekund wyraźnie widoczne w jego twarzy napięcie ustąpiło miejsca promiennemu uśmiechowi i Jack stwierdził z ulgą:

- Dzięki Bogu, że to jednak ty, Hannah! Wiesz, miałem straszny sen, koszmar, zupełnie jakby z horrorów Stephena Kinga. Kiedy się przebudziłem, to z wrażenia aż nie byłem pewien, czy ty faktycznie tu ze mną od wczoraj jesteś, czy może też tylko mi się przyśniłaś? Więc zawołałem cię. I widzę, że jesteś naprawdę. Jakie to szczęście, Hannah! Jesteś, jesteś prawdziwa.

Hannah uśmiechnęła się, mówiąc:

- Jestem jak najbardziej prawdziwa, Jack. Zjawy przecież nie marzną, a mnie zimno aż trzęsie, odkąd wyskoczyłam z ciepłej pościeli. Powiedz mi, jeśli nie liczyć tego paskudnego snu, to jak się dzisiaj czujesz? Przypomniałeś sobie może coś nowego od wczoraj?

- Niestety, nie - odpowiedział Jack. - Tych ostatnich tygodni nadal ani w ząb nie pamiętam. Może uciekły mi z głowy już na zawsze?

Hannah bynajmniej nie była zachwycona taką ewentualnością, która bez wątpienia jeszcze bardziej utrudniłaby jej wybrnięcie z tej i tak piekielnie trudnej sytuacji. Przypomniała sobie jednak zapewnienia

lekarzy, że amnezja Jacka Marshalla na pewno z czasem ustąpi i chcąc pocieszyć tyleż jego, co samą siebie, stwierdziła z przekonaniem:

- To absolutnie nie wchodzi w grę, Jack. Twój lekarz dokładnie mi wytłumaczył, że jest wyłącznie kwestią czasu, jak szybko wróci ci pamięć. Ale musi wrócić, z całą pewnością!

- Musi, nie musi. Skąd właściwie lekarz ma o tym wiedzieć? - Pełen wątpliwości i obaw Jack nie dawał się zbyt łatwo przekonać. - Niech ci się przypadkiem nie zdaje, Hannah, że amnezja jest przypadłością do końca zbadaną. Przecież takie niesamowite historie, jak moja z tą nieszczęsną dachówką, nie przytrafiają się ludziom codziennie! Lekarze często pewnie opierają się w diagnozach na przypuszczeniach. A może nawet tylko na pobożnych życzeniach, kto wie?

- Jack, zamiast tyle gadać i niepotrzebnie się zamartwiać, lepiej pomyśl o tym, że już wczoraj coś tam się ruszyło w tej twojej zablokowanej pamięci - stwierdziła Hannah. - No i pomyśl - palnęła nieopatrznie - że ja tu stoję i marznę w nocnej koszuli.

Jack uśmiechnął się figlarnie.

- W takim razie natychmiast wskakuj do mnie do łóżka - zaproponował. Po czym dodał z udawanym zdziwieniem: - Hannah, to w takiej nocnej koszuli też jeszcze można zmarznąć? Jest przecież długa do samej ziemi i gruba jak koc.

- Jest bardzo praktyczna i jak najbardziej stosowna w naszej sytuacji - odcięła się Hannah. - Przynajmniej nie będę cię w niej prowokowała do lekceważenia zaleceń lekarza. Mam nadzieję, że je pamiętasz - dodała. - Do chwili odzyskania pamięci całkowity relaks, żadnych stresów, żadnych emocji i tak dalej.

- Pamiętam, pamiętam - przytaknął Jack. - Zresztą w czymś takim, jak ta urocza koszulka, nawet ty, Hannah, słabo na mnie działasz, muszę ci się do tego przyznać. Ale obiecuję uroczyście: jak tylko odzyskam pamięć i lekarskie zakazy przestaną mnie obowiązywać, zaraz zerwę z ciebie to flanelowe cudo i wrzucę je do ognia. Jasne?

- Jasne - mruknęła Hannah, kiwając głową. - Jasne, jak to słońeczko za oknem. Ale żebyś ty mógł wrzucić moją nocną koszulę do ognia - dodała - ja muszę go najpierw rozpałić. Więc może lepiej od razu się tym zajmę, zamiast korzystać z twojego zaproszenia pod kołdrę? Albo nie - zmieniła zamiar - najpierw zajmę się kawą. Chyba pamiętasz, że bez filiżanki kawy wypitej z samego rana jesteś przez cały dzień nie do życia? Ja też, pod tym względem mamy identyczne potrzeby, Jack, jak

wszyscy niskociśnieniowcy. Zawsze w biurze robię ci dużą kawę na początek dnia. Pamiętasz?

- No pewnie! Wszystko, co było zawsze, pamiętam przecież doskonale - wyjaśnił Jack. - Pouciekało mi z głowy tylko to, co miało miejsce w ostatnim czasie, w ciągu tych nieszczęsnych sześciu tygodni.

*I to właśnie jest całe szczęście w nieszczęściu, że ci pouciekało,* pomyślała sobie Hannah. Na głos jednak rzuciła tylko:

- Zaraz wracam do ciebie z dobrą kawką!

Po czym wyszła z sypialni, zostawiając Jacka samego.

Zajrzała do kuchni. Dzięki akumulacyjnemu piecowi, który nie wystygł przez noc, było tam ciepło, bez porównania cieplej niż we wszystkich innych pomieszczeniach. Hannah nalała wody do elektrycznego czajnika i włączyła go. Przeszła na chwilę do łazienki, gdzie wyczyściła zęby, uczesała się i przemyła zaspane oczy. Wróciła do swojej sypialni po szlafrok i kapcie. Na koniec znów skierowała się do pokoju Jacka.

Powitał ją kpiarską uwagą:

- No, no, no, ale kreacja, Hannah! Ten niesamowity pikowany szlafroczek! I te fantastyczne puchate kapetki!

Odcięła się:

- Strój chyba całkiem odpowiedni dla siostry miłosierdzia, pielęgnującej ofiarę wypadku, nie uważasz, Jack?

- No, gdyby ta siostra miłosierdzia miała być na dodatek starą panną...

W tym momencie zabarwionej niewątpliwą uszczypliwością wymiany zdań, Hannah zdecydowała się postawić dość zasadnicze pytanie:

- Jack, a czy stara panna to coś gorszego niż stary kawaler?

- Podobno stara panna jest jak stare masło, a stary kawaler jak stare wino, ale czy ja wiem? - usłyszała od Jacka w odpowiedzi. - Zamiast mnie wypytywać o takie skomplikowane sprawy, lepiej powiedz, gdzie nasza kawa? Czyżbyś sama ją wypila?

Hannah roześmiała się i wyjaśniła żartobliwym tonem:

- Nie jest tak źle, szefie! Po prostu pomyślałam sobie, że zaproszę

cię na kawę do kuchni, bo tam jest bez porównania cieplej niż tu. Wiesz, akumulacyjny piec. Więc nie wylegaj się już dłużej, tylko wstawaj. W łazience znajdziesz schedę po moim eks-małżonku: męskie kapcie i męski szlafrok. Własnego nie masz, bo go nie mogłam nigdzie u ciebie znaleźć, jak pakowałam ci rzeczy na drogę - usprawiedliwiła się na koniec.

- Nie znalazłaś go, kobieto, bo ja w ogóle nie mam żadnego szlafroka - mruknął gwoli wyjaśnienia Jack i powędrował na bosaka do łazienki.

Hannah wróciła do kuchni i zaczęła szykować kawę. Gdy po chwili pojawił się Jack, tym razem ona miała okazję sobie z niego zakpić:

- No, no, no, ale kreacja, Jack! Ten niesamowity szlafroczek i te fantastyczne kapetki.

Szlafrok i kapcie Dwighta Althorpa były o kilka co najmniej numerów za małe, więc Jack Marshall prezentował się doprawdy komicznie. Nie stracił jednak rezonu.

- To przecież nie moja wina, Hannah, że kiedyś tam wzięłaś sobie takiego malucha za męża! - odpalił prosto z mostu.

- No, no, no, nie każdy musi być zaraz takim wielkoludem jak ty, Jack! A poza tym, to nawet nie każdy wielkolud musi sobie od razu skąpić na szlafrok! - odpląciła mu pięknym za nadobne.

Jack Marshall nie zareplikował. Usiadł w milczeniu przy kuchennym stole, sięgnął po przygotowany już kubek i przełknął solidny haust kawy.

- Świetna kawka, Hannah, prawdziwie boski napój! - pochwalił. - Dopiero jak się człowiek rano czegoś takiego napije, to nabiera trochę energii. Wystarczająco dużo energii - rzekł dobitnie - żeby to i owo wyjaśnić pewnej złośliwej kobiecie. Otóż bądź łaskawa przyjąć do wiadomości, że ja nie mam szlafroka nie ze skąpstwa, ale dlatego, że nie cierpię takich lalusiowatych fatałaszków i tyle! A poza tym nie muszę na szczęście czegoś takiego nosić, bo w moim mieszkaniu jest bardzo ciepło i mogę sobie śmiało biegać nawet na golasa! Wyobrażasz to sobie, kobieto?

- Wolę nie! Co za dużo, to niezdrowo - odparła Hannah i wybuchnęła śmiechem.

Jack również się roześmiał. Po chwili napił się znów trochę kawy i

zapytał:

- Co ciekawego do zrobienia masz na dzisiaj w planie, Hannah? Bo chyba nie będziemy się przez cały boży dzień objać, prawda?

- A dlaczegoż by nie? - odpowiedziała pytaniem na pytanie. - Przecież lekarz zalecił ci odpoczynek. A poza tym, to przez cały tydzień pracujesz wystarczająco dużo, żeby móc chociaż podczas weekendu pozwolić sobie na odrobinę lenistwa.

- Problem w tym, Hannah, że ja wcale nie przepadam za leniuchowaniem, jeśli chcesz wiedzieć. Po prostu najlepiej odpoczywam przy robocie. A właśnie, jeśli chodzi o robotę: czy jest tu jakiś telefon? Zadzwońlibym do naszego Rogera, kierownika budowy, zapytałbym o...

- Ależ, Jack! - Przerażona z wiadomych powodów Hannah przerwała mu w pół zdania. - Chyba możesz dać temu biednemu Rogerowi spokój przez dwa dni. Poniedziałek będzie już pojutrze, firma i budowa spokojnie na ciebie poczekają! Zresztą tutaj nie ma telefonu.

- Mhm. W takim razie mówi się trudno. Trzeba będzie się trochę ponudzić, skoro nie można ani pracować, ani... No, wiesz, robić tego, czego lekarz zabronił!

Hannah zarumieniała się, trochę speszona, a trochę zirytowana.

- Czyżbyś uważał, że w towarzystwie kobiety nie można robić nic ciekawego poza tym, co masz na myśli? - zapytała zaczepnie.

- Ależ można, można. Można na przykład pójść do teatru albo do opery. Albo do galerii na jakąś wystawę. - Pozornie twierdząca odpowiedź Jacka Marshalla w istocie pobrzmiwała ironią.

- Teatr, opera i galeria to nic złego, mój drogi, mogę cię zapewnić - odcięła się Hannah. - Wiem coś o tym, bo miałam okazję bywać w takich miejscach!

- Pewnie z tym swoim doktorem Althorpem?

- Owszem, z Althorpem, chociaż on w gruncie rzeczy niezbyt interesował się sztuką. Snobował się tylko na bywanie w eleganckim i kulturalnym towarzystwie.

- A ty?

- Ja, prawdę mówiąc, wolę posłuchać muzyki albo popatrzeć na obrazy w spokoju, bez konieczności szczerzenia w uśmiechu zębów do różnych snobistycznych znajomków na premierach i wernisażach.

- W takim razie, chyba niezbyt byliście z doktorkiem dobrani, co?  
Hannah zamyśliła się.

- Czy ja wiem, Jack? - zaczęła się po chwili głośno zastanawiać. - Kiedyś może i byliśmy, w końcu wywodzimy się oboje z tego samego środowiska, z robotniczych rodzin. Ale Dwight skończył studia i zrobił dużą lekarską karierę, więc chyba trochę mu odbiło. Ożenił się ze mną, ale bardzo szybko uznał, że jestem dla niego za głupia. A potem, że za stara. Koniecznie chciał mi odnowić elewację.

- Odnowić elewację? - zdziwił się Jack. - Co ty pleciesz, kobieto?

- Wcale nie plotę, Jack. Doktor Althorp zajmuje się przecież chirurgią plastyczną, poprawianiem urody. Nie mówiłam ci nigdy?

- A może i mówiłaś, tylko zapomniałem.

- No, może. W każdym razie, koniecznie chciał mnie wziąć pod nóż, żeby znów zrobić ze mnie dwudziestkę.

- I co?

- I nie zgodziłam się! Uważałam, że powinien mnie kochać taką, jaka jestem naprawdę.

- A jesteś niczego sobie, Hannah!

- Dzięki za komplement.

- To nie komplement, to prawda. No i co było dalej z tym twoim Dwightem?

- Dalej? Skoro nie chciałam się przemienić w dwudziestkę, Dwight zamienił mnie na dwudziestkę, niejaka Delvene. Afiszuje się z nią teraz po całym Sydney, podobno mają się pobrać. I podobno on już jej skorygował nos, biust i pośladki.

- A to się zbłąźnił nasz doktorek! Hannah, przecież u ciebie żadna z tych trzech rzeczy nie wymaga najdrobniejszej korekty!

- Bardzo mi miło, że tak uważasz, Jack, ale to jest wyłącznie twoje zdanie.

- Moje zdanie najzupełniej mi wystarczy, Hannah! Znam się na babkach jak mało kto.

- Chwalipięta.

- Tylko koneser, moja droga, tylko koneser. Trudno, wolę patrzeć na dziewczyny niż na obrazy, taki już jestem. I wolę cokolwiek robić, niż się objać. Wiesz co? Zjedzmy śniadanie, pomogę ci je przygotować, a potem chodźmy na spacer. Bo widzisz, uważam, że w towarzystwie kobiety można jeszcze spacerować, poza tym, co miałem na myśli, a ty rozumiesz.

- Rozumiem i cieszę się, że tak myślisz - stwierdziła Hannah z uśmiechem satysfakcji. - Ze śniadaniem sobie sama poradzę, ty lepiej skończ kawę i idź się ubrać. Przy okazji możesz posłać swoje łóżko, tylko uważaj, żebyś się zbyt gwałtownie nie schylał. A po śniadaniu pójdziemy w plener. Mamy cudowną pogodę, przepiękną okolicę i mnóstwo czasu do obiadu, Jack!

## ROZDZIAŁ PIĄTY

- Piękny widok, nie da się zaprzeczyć! Chociaż droga marna - stwierdził Jack.

Wąską i kamienistą ścieżką, prowadzącą bezpośrednio przed werandy na tyłach domu, doszli akurat do miejsca, w którym spacerowy górski trakt przebiegał mocno wyeksponowanym trawersem w poprzek stromego, bezleśnego zbocza, powyżej wąskiej, głębokiej, przypominającej kształtem wąwóz lesistej doliny.

Ponad drzewami wciąż unosiła się poranna mgła, natomiast wierzchołki wieńczącej dolinę korony skalistych górskich szczytów jaśniały już i połyskiwały w pełnym słońcu.

- Faktycznie, piękny stąd widok, chyba najpiękniejszy w całej okolicy - przytaknęła Hannah. - Uwielbiam to miejsce, bardzo często przychodziłam tu z chłopcami. Ale ostatnio Chris i Stuart już niezbyt chętnie ze mną spacerują po górach. Wolą wędrować sami, bez opieki, czują się wtedy bardziej dorośli. Znają tu każdą ścieżkę. Wiesz, ten szlak nazwali "bumerangiem", bo niedaleko stąd zawraca zakolem i znów dochodzi do naszego domu, tyle że z innej strony. Jak rzucony bumerang.

- Ci twoi chłopcy to już prawie mężczyźni, Hannah, prawda? - odezwał się Jack.

- Prawie tak, nie da się tego ukryć. Chris kończy w listopadzie piętnaście lat, a Stuart czternaście w styczniu. Spore chłopaki, wyrosnięte, wysportowane. Ale i niegłupie, nieźle się uczą.

- Masz z nich pociechę.

- No pewnie!

Jack pokiwał w zadumie głową.

- Zazdroszczę ci synów, a im zazdroszczę takiej matki - stwierdził. Po czym dodał, zmieniając temat: - Wiesz co, Hannah? Jak tak stoję i patrzę na tę dolinę, to mam wrażenie, że już ją kiedyś widziałem. Nie byłem tu czasem z tobą w tych ostatnich tygodniach? No, bo wcześniej na pewno nie, doskonale pamiętam!

Hannah milczała, udając, że gorliwie kontempluje pejzaż. Jack powtórzył pytanie:

- Czy ja naprawdę nigdy tutaj z tobą nie byłem?

Odpowiedziała niepewnie, zająkując się i nie spoglądając w jego stronę:

- Ze mną, Jack... tutaj... nie. Nie byłeś! Może widziałeś to miejsce na jakiejś pocztówce?

- Ech, nie żartuj sobie ze mnie, kobieto! - obruszył się Jack. - Czy taki poważny, zaharowany facet jak ja, ma czas na przyglądanie się widokówkom czy jakimś tam innym obrazkom? Rozmaite plany budowlane to i owszem, studiuje się nawet często. Ale nie pamiętam, żebym coś zamierzał budować w Górach Błękitnych, wolę wchodzić w tereny bardziej płaskie i już uzbrojone - zażartował. Po czym, nagle poważniejąc, stwierdził z głębokim przekonaniem: - Hannah, ty chyba coś kręcisz, my musieliśmy tu już kiedyś być. Powiedz mi szczerze, kobieto, popatrz mi w oczy, nie odwracaj się ciągle w stronę tej pioruńskiej doliny!

Ujął ją za obydwa ramiona i zmusił, by stanęła przodem do niego. Najwyraźniej zniecierpliwiony, a nawet trochę zirytowany, zaczął nalegać:

- No, Hannah, powiedz! Nie trzymaj mnie bez końca w niepewności!



Z dwudniowym już zarostem na podbródku i policzkach, i w ubraniu, które sama mu w pośpiechu zapakowała na wyjazd - to znaczy w czarnej skórzanej kurtce, czarnym golfie i czarnych dżinsach - Jack wyglądał efektownie, ale i groźnie, jak jakiś górski rozbójnik. Hannah po prostu bała się mu po raz kolejny skłamać! Przyznała więc rada nierada zgodnie z prawdą:

- Ze mną nigdy tutaj nie byłeś, Jack. Ale faktycznie zdarzyło ci się nie tak dawno spędzić weekend w Górach Błękitnych. Być może widziałeś tę dolinę, bo zatrzymałeś się niedaleko stąd, w takim górskim hotelu. Nawet rezerwowałam ci pokój.

- Sam się wybrałem w te góry, bez ciebie? - zdziwił się Jack.

Hannah zarumieniła się w zakłopotaniu i wyjaśniła łamiącym się z lekka głosem:

- Wybrałeś się beze mnie, ale nie sam.

- Chcesz powiedzieć, że z inną kobietą? - dopytywał się Jack.

- Tak.

- A niech mnie licho! - wybuchnął. - Odbiło mi, czy co? Jak ja mogłem ci zrobić coś takiego, Hannah? Już rozumiem, to pewnie o to masz do mnie pretensje i dlatego jesteś chwilami taka jakaś... niewyraźna. Do diabła, to pewnie za to los mnie pokarał tą dachówką!

Hannah, zaniepokojona nie na żarty, że gwałtowny przyływ irytacji i poczucia winy może Jackowi zaszkodzić, zaczęła energicznie zaprzeczać:

- Nie, Jack, nie! To nie tak! Ja naprawdę nie mam do ciebie żadnych pretensji, ty przecież niczym nigdy wobec mnie nie zawiniłeś! Tamten weekend, tamta kobieta... To było wcześniej, zanim my... To już nieaktualne, Jack, to już przeszłość!

Zakłopotanie, zdenerwowanie, wzruszenie, niepokój, nadzieja. Równoczesny napór wszystkich tych intensywnych emocji sprawił, że Hannah niespodziewanie wybuchnęła płaczem. Jack przyciągnął ją do siebie i mocno objął ramionami. Zaczął ją przeproszać i pocieszać:

- Hannah, kochanie, wybac mi tamtą... pomyłkę. Zapomnij! To już zupełnie nieaktualne, ja przecież nawet tego nie pamiętam. Tylko ty się dla mnie liczysz, naprawdę! Tylko na tobie mi zależy, na nikim więcej!

Hannah pochlipywała nadal, głównie już ze złości na samą siebie.

*Jak można postępować tak podle?* - wyrzucała sobie w myślach. Jak można kłamstwem i podstępem doprowadzać do wyrzutów sumienia i przeprosin kogoś, kto w niczym nie zawinił?

Jack, widząc, że jego czułe słowa nie przynoszą Hannah ulgi, postąpił o krok dalej w czułościach. Pocałował ją. Mocno i namiętnie.

Ten pocałunek, to był prawdziwy wstrząs! Hannah poczuła nagle, że wszystkie kłębiące się w jej duszy emocje i napięcia zaczynają się jak gdyby ulatniać, zacierać. A może raczej, że zaczynają się wszystkie razem przemieniać w jeden nadrzędny, dominujący, potężny i niepohamowany afekt: pożądanie! We wszechogarniającą, przenikającą całe ciało i całą duszę potrzebę miłosego zespolenia z mężczyzną, właśnie z tym mężczyzną. Przemieniły się w długo tłumiony, więc tym bardziej gwałtowny i dokuczliwy głód namiętności.

Powodowana tym głodem Hannah przywarła ustami do warg Jacka ze wszystkich sił, po prostu wpiła się ustami w jego wargi. Zupełnie, jakby się chciała nimi natychmiast, w jednej chwili, nasycić.

Pocałunek trwał długo, bardzo długo, stawał się z każdą chwilą coraz gorętszy, coraz bardziej namiętny. Podniecenie obojga narastało gwałtownie i nieustannie, a kiedy osiągnęło poziom równy już chyba otaczającym dolinę niebotycznym górskim szczytom, Jack szepnął:

- Hannah, jeżeli nie powstrzymasz mnie teraz, to za moment już nic mnie nie powstrzyma.

Odpowiedziała zdławionym z emocji głosem:

- Ja już wcale nie chcę, żebyś się powstrzymywał, Jack. Chcę, żebyś się ze mną kochał. Teraz, od razu, tutaj.

- Och, Hannah!

Jack zsunął jej z ramion flauszowy płaszcz, który włożyła, wybierając się na długi spacer w chłodny dzień. Rzucone na ziemię okrycie miało im posłużyć za miłose postanie. Opadli na nie oboje jednocześnie, wciąż zespoleni pocałunkiem i uściskiem. Napięcie i pożądanie sięgnęło u obojga zenitu.

To, co nastąpiło później, było jak szalony, fantastyczny, niezwykły, niesamowity sen. Niesamowicie żywiołowy i niesamowicie piękny. Pierwotny i dziki w swojej gwałtownej, nieposkromionej żywiołowości. Upajający i rozkoszny w swoim naturalnym pięknie.

Hannah, wbrew powtarzanym ustawicznie przez byłego męża opiniom o jej znikomym temperamencie, odkryła w sobie ogromne, niezgłębione wprost pokłady namiętności. Odkryła w sobie miłosną pasję, ogień i żar. Na długie lata uśpione przez Dwighta Althorpa. I nareszcie rozbudzone, wyzwolone przez Jacka Marshalla!

Przez mężczyznę, z którym znalazła się sam na sam na odludziu za sprawą przypadku i którego - powodowana najlepszymi intencjami - okłamała, chcąc go ratować przed bezwzględna i nieuczciwą kobietą, z jaką się nieopatrznie i pochopnie zaręczył. Przez mężczyznę, którego dotąd uważała jedynie za porządnego człowieka i najlepszego pod słońcem szefa, a który okazał się najwspanialszym, najcudowniejszym, zniewalającym po prostu kochankiem! Przez mężczyznę, który nareszcie w niej dostrzegł atrakcyjną i ponętą kobietę. Który w ciągu paru chwil zdołał jej całkowicie zrekompensować lata uczuciowego chłodu, niesprawiedliwej krytyki i osamotnienia. I który uznał, że to, czego razem doświadczyli, było porywające, wspaniałe, cudowne.

- Hannah, czy zawsze tak było między nami? - zapytał Jack, kiedy oboje ochłonęli już nieco z gwałtownej miłosnej gorączki.

- To znaczy jak?

- No, tak niesamowicie, fantastycznie!

- Jack, chyba teraz... - Hannah zaczęła się trochę plątać w odpowiedzi - ...tym razem chyba było najwspanialej, Jack, najpiękniej!

- Och, Hannah! Tylko że... - Zawahał się, urywając w pół zdania.

- Co się stało, Jack? Jaki masz problem?

- Oboje możemy mieć. Przeze mnie! Tak mnie poniosło, że nie pomyślałem o zabezpieczeniu, a to błąd, dorosły facet nie powinien sobie na coś takiego pozwalać!

- Nie martw się, Jack - uspokoiła go Hannah. - Jestem zabezpieczona. Wiesz, brałam pigułkę od lat i po prostu nie zrezygnowałam z niej, nawet po rozstaniu z Dwightem - dodała gwoli wyjaśnienia. - Więc nie zostaniesz ojcem jeszcze w ten weekend - zakończyła ze śmiechem.

Jack Marshall również się uśmiechnął, z odrobiną zadumy. Nic więcej nie mówiąc, pocałował Hannah mocno jeszcze raz. I raz jeszcze wziął ją w miłosne objęcia.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Czemu tak ciągle milczysz, kobieto? - zapytał Jack.

Odprawiwszy do końca, do całkowitego upojenia i krańcowego wyczerpania, miłosny ceremoniał, szli już z powrotem górską ścieżką w stronę domu. Ponieważ Hannah, która istotnie nie odezwała się w drodze bodaj słowem, nie kwapiła się również z udzieleniem odpowiedzi na to pytanie, Jack mówił dalej:

- Nie zaszkodziło mi, Hannah, nic się nie martw. Coś tak wspaniałego nie mogłoby nikomu zaszkodzić! Niech tam sobie lekarz mówi, co chce, niech zabrania, czy nie zabrania. Nikt mi nie może zabronić, nikt nie może nam zabronić - podkreślił - kochać się, kiedy chcemy, gdzie chcemy i ile tylko chcemy! Kobieto, przecież my mamy do tego pełne prawo, jesteśmy zaręczeni, niedługo zamierzamy się pobrać.

*Powinnam mu teraz powiedzieć, że nie! - pomyślała Hannah. Że nie mamy do niczego prawa, bo wcale nie jesteśmy zaręczeni i nie zaplanowaliśmy żadnego ślubu. Że ja ciągle jestem tylko jego sekretarką, a on moim szefem i że go oszukałam, bo... No cóż, bo chciałam mu pomóc! I niechcący wplątałam się w sytuację, w której nie umiem powiedzieć teraz mu prawdy! I w tym cały problem!*

Nie będąc jednak w stanie wyznać tego wszystkiego, co powinna, Hannah wołała nadal milczeć. Jack Marshall zaczął więc monolog:

- Wiesz co, Hannah? Jak dojdziemy do domu, to najpierw weźmiemy prysznic i przebierzemy się w jakieś inne ciuchy, a potem rozpalimy porządny ogień w tym kominku w salonie. Będzie nam przez całe popołudnie ciepłutko i miłutko jak w raju. Jak w raju. Mhm, tak właśnie mi było z tobą, kobieto, tam - ruchem głowy Jack wskazał za siebie - przed chwilą. I pomyśleć, że poznałem cię już ponad rok temu, kiedy się zjawiłaś w "Marshall Homes" w poszukiwaniu pracy, i cały ten rok zmarnowałem, zanim zbliżyłem się do ciebie. Przecież trzeba było się o to starać od razu, słowo daję! Przecież od początku wpadłaś mi w oko, kobieto, jak to się mówi, od pierwszego wejrzenia! Beznadziejny byłem, że tak długo niepotrzebnie czekałem.

Hannah, nadal nic nie mówiąc, w pewnym momencie, już bardzo

blisko domu, nagle się zatrzymała.

- Co się stało? - spytał Jack.

- Tam, zobacz! - Wskazała ręką na trawiaste pobocze ścieżki. - Coś tam leży.

Jack, zerknąwszy z zaciekawieniem we wskazanym przez Hannah kierunku, zawyrokował:

- To tylko jakiś suchy konar, musiał obłamać się z drzewa, pewnie z tego tam eukaliptusa.

- Ale obok, takie brązowe, kosmate! - nie dawała za wygraną Hannah.

- Aha, tam! Podejdźmy bliżej, to zobaczymy.

Przeszli parę kroków i zatrzymali się przy leżącym na ziemi suchym konarze.

- To opos, Hannah - stwierdził Jack, dokonawszy szczegółowych oględzin. - Wygląda na to, że musiał spaść z drzewa razem z tą spróchniałą gałęzią.

- I zabił się?

- Niestety, widzę, że nie daje żadnych oznak życia. Biedaczka!

- Skąd wiesz, że to ona, a nie on?

- Bo on nie miałby takiego małego oposka w kieszeni. Zobacz!

Jack nachylił się nad martwą samicą i wyciągnął z torby na jej brzuchu coś, co przypominało popiskującą kulę brunatnego futra, z dwoma połyskującymi jak paciorki brązowymi oczkami, dwoma sterczącymi uszkami i małym różowym noskiem.

- O rety, ale słodkie jest to maleństwo, Jack! Chyba mu zimno i pewnie się boi. - Hannah zachwyciła się i rozczuliła zarazem na widok osieroconego zwierzątko, który dotychczas, jak wszystkie młodociane torbacze, pędził wygodny żywot w ciepłej, zacisznej torbie na brzuchu swojej matki, a teraz, za sprawą nieszczęśliwego wypadku ze spróchniałą gałęzią, utracił jednocześnie i matczyną opiekę, i bezpieczne, przytulne schronienie.

- Tu będzie mu cieplej - oświadczył Jack, chowając oposka pod kurtkę. - I może troszkę raźniej.

- Biedaczek! - uzalila się Hannah nad zwierzątkiem. - Trzeba się nim jakoś zaopiekować, nakarmić.

- Ohoho, kobieto! Jak widzę, od razu ujawniasz swoje opiekuńcze, macierzyńskie instynkty - pół żartem, pół serio, choć z całkowitą życzliwością, stwierdził Jack. - Ale, niestety, muszę cię uświadomić, że odchowanie takiego kosmatego szkraba, który dotąd jeszcze sobie siedział w torbie, to niesamowicie skomplikowana sprawa. Trzeba się trochę na tym znać, bo inaczej to nawet przy najtroskliwszej opiece zwierzak nie wyżyje.

- Mhm, myślisz, że sobie nie poradzę z tym młodziutkim oposem? - zafrasowała się Hannah. - Przecież radzę sobie z opieką nad dwoma młodymi chłopakami...

- I jeszcze nad pewnym starym kawalerem, prawda? - wszedł jej w słowo Jack.

- Jak to?

- No, przecież często mi robisz w biurze śniadanie, kiedy w domu nie zdążę nic zjeść - zaczął wyliczać Jack - przypominasz mi o terminach opłacania rachunków, pilnujesz, żebym na czas oddał bieliznę do pralni i potem nie zapomniał jej odebrać, dbasz, żebym od czasu do czasu odwiedził fryzjera.

- Fakt - przytaknęła Hannah - ale to wszystko robię jako twoja sekretarka, za to mi przecież płacisz!

- Czyżby? Oj, Hannah, zawsze robiłaś dla mnie znacznie więcej, niż narzucały ci służbowe obowiązki. Jesteś opiekuńcza z natury, a ja... - Jack zawiesił na moment głos. - No cóż, ja po prostu uwielbiam tę twoją opiekę, Hannah. Mało kto się o mnie w życiu troszczył. Tak szczerze mówiąc, to prawie nikt!

- Bardzo się cieszę, że potrafisz docenić tę moją troskę o ciebie - powiedziała z trochę niepewnym uśmiechem Hannah. - Obyś zawsze potrafił! - podkreśliła z nadzieją, przez cały czas mając w pamięci fakt, że chociaż kierowała się właśnie troską, to przecież dopuściła się karygodnego oszustwa wobec Jacka.

- Nie ma obawy, Hannah, doceniam cię zawsze i pod każdym względem! - stwierdził bez wahania Jack Marshall. - Ale mimo wszystko nie radziłbym ci się brać za odchowywanie oposa - dodał. - Miałaś kiedyś w domu choćby chomika czy morską świnkę?

- Niestety, nigdy - odpowiedziała Hannah. - Ani w dzieciństwie,

ani później. Dwight się nie zgadzał na żadne zwierzęta w domu. Uważał, że hodowanie jakiegokolwiek żywego stworzenia w miejskim mieszkaniu urąga zasadom higieny. Wyobrażasz to sobie? Pan doktor tak właśnie zawsze mi mówił: "To urąga zasadom higieny!".

- Dobrze sobie! - mruknął z nie ukrywaną ironią Jack. - No, ale sama widzisz, że nie masz ani trochę doświadczenia ze zwierzętami. Do licha, co by tu zrobić z tym malcem? - zaczął się głośno zastanawiać. - Może byśmy go tak odstawili na wychowanie do jakiegoś weterynarza? Są przecież takie kliniki, można by zafundować naszemu oposkowi pobyt, a potem dopilnować, żeby w odpowiednim czasie został wypuszczony na wolność.

- Jack, przecież tutaj, w tej głuszy, nie ma żadnej lecznicy dla zwierząt! - zasmuciła się Hannah. - Ale wiesz co? - Uśmiechnęła się nieoczekiwanie, odzyskując dobry humor. - Przypomniało mi się, że pewna starsza pani, która mieszka tu niedaleko, bardzo lubi zwierzęta i często się nimi opiekuje w rozmaitych trudnych sytuacjach: dokarmia je, leczy. Moi chłopcy uwielbiają do niej wpadać, bo zawsze ma w domu jakiegoś leśnego zwierzaka, a często nawet kilka. Zaopiekuje się tym oposem lepiej niż weterynarz, oczywiście, jeśli zechce.

- Będziemy ją o to oboje bardzo pięknie prosić! - powiedział Jack.

Hannah rzuciła mu lekko spłoszone spojrzenie i zapytała:

- To chciałbyś ze mną tam pójść?

- A czemużby nie? Przecież razem znaleźliśmy tego malca, a poza tym... Poza tym - oznajmił z uśmiechem - mam zamiar teraz bardzo często tu z tobą przyjeżdżać, więc chciałbym poznać wszystkich najbliższych sąsiadów! A co, myślisz może, że ta starsza dama się przestraszy, jak mnie zobaczy? - zapytał.

Hannah spojrzała spod oka na jego szczeciniastą twarz i odparła:

- Jeśli się w końcu nie ogolisz, to na pewno!

Jack przejechał dłonią po policzku i podbródku.

- Faktycznie - przyznał - powinienem się co nieco ogładzić. W takim razie, zamiast tu debatować, lepiej chodźmy! - zarządził energicznie. - Najpierw do domu, do łazienki, a zaraz potem do tej starszej pani, żeby załatwić oposkowi zastępczą babcie!

- Babcie i dziadka - mruknęła Hannah.

- Jak to?

- Ano tak, ta starsza pani, Marion Cooper, ma męża, Edwarda, który również bardzo lubi zwierzęta. Oboje bardzo chętnie się nimi opiekują - wyjaśniła Hannah.

- Aż jestem ciekaw tych niezwykłych ludzi. I w żadnym wypadku nie puszcę cię do nich samej, kobieto, zapowiadam ci to z góry! Nie próbuj czasem kłaść mnie do łóżka!

- Niech już będzie po twojemu! W końcu, to ty jesteś szefem - zgodziła się z głębokim westchnieniem rezygnacji, przerażona perspektywą przedstawienia Jacka Marshalla sąsiadom, jako rzekomego narzeczonego.

Kiedy po powrocie do domu Hannah znalazła się w łazience i wycierając się po kąpieli, stanęła naga przed lustrem, spojrzała na siebie zupełnie innymi oczyma niż dotąd. Już nie przesadnie krytycznymi, a może nawet niezyczliwymi oczyma Dwighta Althorpa, ale zachwyconymi, dostrzegającymi w niej kobietę atrakcyjną i godną męskiego zainteresowania, oczyma Jacka Marshalla.

Albo po prostu własnymi oczyma!

Tak, chyba nareszcie, po wielu, wielu latach, Hannah spojrzała na samą siebie, na własne ciało, w sposób obiektywny. Zobaczyła się w lustrze bez zniekształceń, narzucanych przez niezliczone kompleksy na punkcie urody i sylwetki, jakie z uporem godnym lepszej sprawy systematycznie wyrabiał w niej eks-mąż. Bez rozlicznych niedoskonałości, które od zawsze, niemal od pierwszych lat po ślubie, wmawiał jej Dwight Althorp i w których istnienie sama z czasem święcie uwierzyła.

Przede wszystkim nie dostrzegła u siebie żadnych śladów nadwagi. Zaczęła się w związku z tym zastanawiać: *Czyżbym zeszczuplała, odkąd poszłam do pracy?*

Wcześniej, mimo że nieustannie stosowała różne diety i systematycznie ćwiczyła aerobik, ciągle ważyła o parę kilogramów za dużo. Jakież upokarzające było dla niej ustawiczne wysłuchiwanie związanych z tym faktem drwin i docinków Dwighta!

Zrezygnowana i zniechęcona do bezowocnych odchudzających diet, a także powodowana złością i przekorą, często potem objadała się gdzieś w odosobnieniu słodyczami. Na przykład w kinie, dokąd wybierała się od czasu do czasu, by się zapatrzeć w ekran i oderwać od nieznośnej codzienności.

Później dręczyło ją zwykle poczucie winy, czyniła więc sobie



mnóstwo wyrzutów i usiłowała narzucić sobie jeszcze ostrzejsze niż dotąd rygory dietetyczne. I często nawet trochę chudła, ale że Dwight i tak nigdy nie był zadowolony z jej sylwetki, znowu pewnego dnia pogrążyła się w szaleńczym obżarstwie i tak błędne koło się zamykało.

Tkwiłam jak jakaś ofiara losu w tej sytuacji bez wyjścia, rozmyślała Hannah, stojąc przed lustrem. A tymczasem, jak widać, wystarczyło znaleźć sobie jakieś zajęcie, wyrwać się z czterech ścian, porzucić beznadziejną vegetację kury domowej i bezpłatnej gosposi pana doktora i proszę bardzo! Brzuch płaski, biodra trochę zaokrąglone, ale przecież całkiem w porządku, talia wyraźnie zaznaczona. Biust, po wykarmieniu piersią dwu żarłocznych chłopaków, na pewno już nie tak jędrny, jak przed pierwszą ciążą, ale przecież... No, niczego sobie, przy odpowiednio dobranym biustonoszu, a nawet i bez, tak jak teraz!

Z zamyślenia wyrwało ją nagle głośnie stukanie w drzwi łazienki.

- Hannah, na litość boską, co ty tam robisz tak długo? - niecierpliwił się Jack. - Ubierz się wreszcie i chodźmy!

- Już się ubieram, sekundkę! Zaraz będę gotowa! - odrzyknęła.

Włożyła przygotowany zawczasu seksowny komplet czarnej bielizny, szare džinsy, czerwone polo i granatowy żakiet w marynarskim stylu, z mosiężnymi guzikami. Wsunęła stopy w miękkie sportowe mokasyny. Uczesała się w pośpiechu, musnęła rzęsy tuszem, a usta pomadką. Jeszcze tylko odrobina perfum "Sunflowers" i Hannah już była gotowa do zaprezentowania się Jackowi.

Piastując na rękach osieroczonego oposa, Jack Marshall przechadzał się trochę nerwowym krokiem tam i z powrotem po holu. W klasycznych, ciemnoniebieskich džinsach i w zrobionym ręcznie na drutach ciepłym swetrze z grubej, zgrzebnej wełny w naturalnym kremowym kolorze, wyglądał, mimo zniecierpliwienia, bez porównania dobroduszniej i łagodniej niż przedtem w czerni.

Hannah uśmiechnęła się pojednawczo.

- Przepraszam, że tak długo to trwało, Jack - odezwała się trochę niepewnie - ale musiałam się jakoś ogarnąć. Wiesz, jak to jest z nami, kobietami...

- Ach, te kobiety! - mruknął posepnie Jack.

Niemal natychmiast jednak rozpromienił się i z miejsca zapomniał o swojej dotychczas nachmurzonej minie.

- Muszę ci uczciwie powiedzieć, Hannah - stwierdził rozradowany

- że warto było poczekać, żeby ujrzeć taki fantastyczny widok, jaki ja widzę w tej chwili. Wyglądasz cudownie!

- Dzięki, Jack! A ty wyglądasz niesamowicie przystojnie, muszę ci to uczciwie powiedzieć. - Hannah odwdzieczyła się komplementem za komplement.

- W takim razie dobrana z nas para! - podsumował Jack ze śmiechem. - No, dosyć na razie wzajemnej kurtuazji, chodźmy wreszcie z tym kosmatym szkrabem do państwa...

- ...Cooper. Marion i Edward Cooperowie. Chodźmy, Jack! Tylko mam do ciebie maleńką prośbę - zastrzegła Hannah. - Nie wspominaj im o tej swojej amnezji, to już starsi ludzie, jeszcze coś źle rozumieją i nie daj Boże posądzą cię o jakąś paskudną chorobę, albo nawet... - Zawahała się.

- Albo nawet wezmą mnie za wariata? - wszedł jej w słowo Jack. - Spokojna głowa, kochanie, nie będę im niczego opowiadał, ani o amnezji, ani w ogóle. Wiesz co? Najlepiej wcale się u nich nie zatrzymujmy na żadne pogaduszki! - zaproponował. - Wpadniemy tylko na momencik, zostawimy oposa i zaraz wrócimy do domu, żeby sobie trochę...

- Wiesz co, Jack? - przerwała mu Hannah. - Myślę, że powinnam cię z góry o czymś uprzedzić. Starsi państwo Cooperowie troszeczkę się tu nudzą, są tylko we dwójkę na takim odludziu, więc po prostu uwielbiają gości, nawet niespodziewanych. Zwłaszcza niespodziewanych! - poprawiła się. - Tak czy inaczej, dojdziemy do ich domu szybko, bo to nie więcej niż dwieście metrów, szosą w kierunku, z którego wczoraj przyjechaliśmy samochodem i potem kawałek taką boczną dróżką przez zarośla. Ale kiedy wyjdziemy, Bóg raczy wiedzieć!

- Serio? - zaniepokoił się Jack.

Hannah uśmiechnęła się i pokiwała głową. Po czym stwierdziła żartobliwym tonem:

- Sam tego chciałeś, szefie!

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Hannah! Nareszcie przypomniałaś sobie o sąsiadach! Jakże się cieszę, że przyszłaś, kochaniutka! I do tego z mężczyzną, no, no, no!

Taką mniej więcej serią radosnych, entuzjastycznych wręcz okrzyków powitała Hannah i Jacka w drzwiach swego domu Marion Cooper, zażywna rudowłosa kobieta pod sześćdziesiątkę, wyróżniająca się tubalnym głosem, okazałą tuszą i posturą oraz długą po kostki szatą w kwiatowe hawajskie wzory, jaką zazwyczaj, bez względu na porę roku, nosiła w roli podomki.

- Edwardzie! Mamy gości! - pokrzykiwała dalej, informując małżonka o radosnym wydarzeniu i nie dopuszczając oczywiście nikogo innego do głosu. - Edwardzie, słyszysz mnie? Mamy gości! Hannah do nas przyszła w odwiedziny, Hannah Althorp! I przyprowadziła ze sobą przyjaciela! Rozpalaj szybko pod kuchnią, kochasiu, i rozglądaj się za jakimś dobrym trunkiem ze swoich zapasów!

Po przekazaniu Edwardowi na odległość najważniejszych informacji i wydaniu mu najpilniejszych dyspozycji, Marion Cooper, tonując już nieco swój donośny głos, zwróciła się do Hannah:

- No, kochaniutka, to przedstaw mi wreszcie tego wspaniałego dżentelmena!

Hannah zarumieniła się, rzuciła przez ramię przelotne spojrzenie uśmiechniętemu od ucha do ucha Jackowi. Odezwała się cicho i trochę nieskładnie:

- Marion, to właśnie jest... No, to właśnie jest Jack Marshall, mój...

- ...narzeczony! - uzupełnił Jack urwaną w pół zdania prezentację swojej osoby, rezygnując natychmiast ze wszelkich niedomówień.

- Narzeczony? A to ci wiadomość! - Pani Cooper wydawała się tyleż zdziwiona, co uradowana. - No, no, no, Hannah, dorobiłaś się już narzeczonego! A przecież jakieśmy się w zeszły weekend spotkały w sklepie w osiedlu, to nawet mi o niczym nie wspomniałaś. Ładnie to tak?

Mocno speszona Hannah zaczęła się dość skwapliwie tłumaczyć:

- Nic ci wtedy nie mówiłam, Marion, bo widzisz... To wszystko tak się jakoś niespodziewanie ułożyło, że my dopiero... Tak właściwie, to my dopiero w tym ostatnim tygodniu...

- Och, jakież to romantyczne! - wykrzyknęła pani Cooper. -

Dopiero w zeszłym tygodniu? Hannah, taka nagła zmiana w twoim życiu? Aż nie mogę uwierzyć, słowo daję! Ale jestem pewna, że to będzie zmiana na lepsze i już z góry strasznie się cieszę. Wiesz, a już się nawet martwiłam, że jak raz ci nie wyszło, to będziesz się bała powtórki i zdecydujesz się na samotność. A to przecież nie miałoby najmniejszego sensu, kochaniutka, dla kobiety życie w pojedynkę to naprawdę średnia przyjemność! Widzisz, kobieta więdnie bez mężczyzny, jak, nie przymierzając, roślina bez wody, a u boku mężczyzny rozkwita - stwierdziła Marion sentencjonalnie. Po czym, zerkając z nie ukrywanym zaciekawieniem na Jacka, dodała z naciskiem: - U boku prawdziwego mężczyzny, ma się rozumieć, no ale nie ma strachu, Hannah, widzę, że tym razem to ci się trafił kawał prawdziwego chłopca. Niech się pan czasem nie pogniewa o to moje gadanie, panie Marshall - Marion zwróciła się do Jacka - bo to komplement pod pana adresem!

- Nie wątpię, pani Cooper i nie mam najmniejszego zamiaru się obrażać - uspokoił ją.

- No, to się cieszę! Widzę, że fajny z pana chłop, panie Marshall. Zaraz, zaraz... - Marion zaczęła się na głos zastanawiać - Czy czasem Hannah mi kiedyś nie mówiła, że pracuje w firmie budowlanej "Marshall Homes"? Hannah, jak to jest? - kategorycznie zażądała wyjaśnień.

- Nnno, tak... pracuję w "Marshall Homes" - przytaknęła Hannah, oblewając się jeszcze intensywniejszym niż dotąd rumieńcem.

- A więc to taka historia, no, no, no! - wykrzyknęła z nie ukrywanym podziwem Marion. - Mój Boże, ileż w tym romantyzmu! Strasznie się cieszę, Hannah, naprawdę! Strasznie się cieszę, panie Marshall!

- Pani Cooper, proszę mówić mi Jack, zgoda?

- Zgoda, czemu nie? Z przyjemnością. Ale w takim razie proszę mówić mi Marion, panie Ma... to znaczy Jack, mów mi Marion, Jack!

- Cała przyjemność po mojej stronie, Marion.

- No, niech będzie, że połowa po twojej, a połowa po mojej, Jack, dokładnie pół na pół! I koniec targów, wchodźcie lepiej oboje do środka, bo na dworze jest dzisiaj trochę chłodnawo.

- Marion, wejdziemy najwyżej na chwileczkę, nie chcielibyśmy tobie i Edwardowi robić kłopotu - zastrzegła z góry Hannah. - Chociaż właściwie... to i tak mamy dla was pewien mały kłopot - dodała.

- No, wchodźcie, wchodźcie! I mówcie wyraźniej, z czym

przychodzicie, bez tych zagadek.

- Z oposem, Marion. Przychodzimy do was z oposem - wyjaśnił Jack, nie bawiąc już się w dalsze korowody.

- A to ci historia! Z oposem? - zdziwiła się pani Cooper. - A skąd właściwie macie tego oposa?

- Prosto z worka.

- Wolne żarty, Jack.

- Mówię zupełnie poważnie, Marion. Jego matka spadła z eukaliptusa razem ze spróchniałym konarem i zabiła się, biedaczka, a maluch, schowany w worku, przeżył katastrofę bez szwanku. Wyjąłem go i proszę, jest tutaj - wyjaśnił Jack i odchylił połę kurtki.

Na widok kosmatego maleństwa pani Cooper aż klasnęła w dłonie z radości.

- Mój Boże, jaki on śliczny! - wykrzyknęła. - Ja po prostu uwielbiam te małe oposki - perorowała dalej z entuzjazmem. - To cudownie, żeście go do mnie przynieśli, przecież nikt na świecie by się nim lepiej ode mnie nie zaopiekował!

- My też tak właśnie uważamy, Marion - odezwała się Hannah. - Opowiadałam Jackowi, że jesteś prawdziwym aniołem stróżem dla wszystkich nieszczęśliwych zwierzątek.

- Ohoho! - zaśmiała się tubalnie Marion. - Jakby nasz miły Jack nie wiedział od ciebie, jaki ze mnie anioł, to na oko pewnie nigdy by się tego nie domyślił, prawda? - zażartowała z samej siebie.

Jack Marshall, ani trochę nie tracąc rezonu, odpowiedział z miejsca:

- Pokażna postura, Marion, to równocześnie wielkie serce! Wiem to po sobie.

- Racja, Jack! Wielkie serce, a to mi się podoba! Od razu wiedziałam, Jack, że z ciebie świetny chłop, jak tylko cię zobaczyłam. A jeszcze kiedy teraz widzę, jak troskliwie trzymasz to maleństwo... No, możesz mi go dać, śmiało, będzie miał dobrze u mnie i u Edwarda. O wilku mowa. Edwardzie, nareszcie jesteś! - tonem lekkiego zniecierpliwienia zwróciła się Marion do męża, który akurat w tym momencie pojawił się w holu. - Coś ty tam robił tak długo, zamiast tu przyjść i witać gości?

- Rozpalałem ogień pod kuchnią, Marion, przecież sama mi kazałaś.

- Kazałam, kazałam! No tak, kazałam, przecież trzeba zrobić gościom jakiejś herbatki czy kawki. A trunki naszykowałeś?

- Naszykowałem, i owszem - potwierdził pan Cooper, kiwając równocześnie głową.

- No, to prowadź gości do salonu. A ja tymczasem zakrzątnę się w kuchni. Przygotuję też mleczko dla tego maleństwa. Zobacz, Edwardzie, co Hannah i Jack nam przynieśli! - Pokazała mężowi oposa. - A właśnie, Jack - zreflektowała się Marion. - Przecież wy się jeszcze nie znacie z moim Edwardem! Edwardzie, pozwól, to właśnie jest Jack Marshall, szef Hannah z firmy "Marshall Homes". Nie tylko szef, bo teraz to już i narzeczony, wyobrażasz to sobie? Zaręczyli się w zeszłym tygodniu. Jakaż to romantyczna historia, prawda, Edwardzie?

Edward, nie będąc w stanie w obecności swej gadatliwej małżonki dojść do głosu, skinął najpierw głową na potwierdzenie, że również uważa tak świeżej daty zaręczyny za romantyczną historię, potem przywitał się w milczeniu uściskiem dłoni z Hannah i Jackiem, a następnie uprzejmym gestem zaprosił ich do saloniku.

Edward Cooper, elegancki, dystyngowany pan po sześćdziesiątce, równie wysoki, jak Marion, ale w odróżnieniu od niej bardzo szczupły, miał dość długie, srebrzystosiwe włosy i takąż brodę, szare, inteligentnie spoglądające oczy i klasyczne, starorzymskie rysy twarzy. Przyodziały w ciemnoszare spodnie, błękitną koszulkę polo i tweedową marynarkę ze skórzanymi łatami na łokciach, prezentował się niczym jakiś nobliwy brytyjski ziemianin albo... dyrygent orkiestry symfonicznej. W istocie był średniej rangi urzędnikiem państwowym na emeryturze, dżentelmenem rozkochanym w dobrej muzyce, dobrych książkach, dobrym żarcie, w dobrych, domowej roboty trunkach i... w nieco ekscentrycznej małżonce.

Edward był drugim mężem Marion. Ten pierwszy odszedł od niej niedługo po ślubie, gdy okazało się, że z jej powodu nie będą mogli mieć dzieci. Zrozpaczona, wówczas zaledwie dwudziestopięcioletnia Marion, przez następnych dwadzieścia lat samotnego życia szukała ukojenia i pociechy w... obżarstwie. Kiedy doszła już do niemal dwustu kilogramów żywej wagi, trafiła na kurację do lekarza. I właśnie u niego, w poczekalni, poznała Edwarda Coopera, wdowca, ojca dorosłych już dzieci.

Natychmiast przyłgnęli do siebie i dość szybko zostali

małżeństwem. Przy życzliwym wsparciu Edwarda, Marion Cooper zdołała pozbyć się niebezpiecznej dla zdrowia nadwagi, schodząc z poziomu dwustu kilogramów do stu. Wówczas małżonek oświadczył jej, że, jego zdaniem, osiągnęła ideał i nie musi się już więcej odchudzać.

Od dziesięciu lat Marion utrzymywała więc niezmienną wagę i wciąż cieszyła się swoim udanym drugim małżeństwem. Byli z Edwardem po prostu nierozłączni i w najpełniejszym tego słowa znaczeniu szczęśliwi w uroczym, leśnym siedlisku w Górach Błękitnych.

- Mili państwo, siadajcie proszę, wybierajcie sobie krzeselka według gustu, o ile znajdziecie jakieś wolne, ma się rozumieć! - W taki oto żartobliwy sposób Edward Cooper zaprosił Hannah i Jacka do rozgoszczenia się w pomieszczeniu, do którego ich wprowadził.

Salonik państwa Cooperów znajdował się na tyłach ich domu. Obszerny, z kominkiem, wyjściem na taras i widokiem na góry prezentowałby się zapewne niezwykle elegancko, gdyby był nieco mniej zagracony. Licznie i dość bezładnie nagromadzone sprzęty i bibeloty, a także rozlokowane bezpośrednio na podłodze sterty książek, płyt i czasopism, ujmowały mu jednak wykwintu i reprezentacyjnego charakteru. Dodawały za to niewątpliwie przytulności i oryginalnego, ekstrawaganckiego, artystycznego trochę kolorytu.

Stałymi bywalcami salonu państwa Cooperów były... ich koty! Wylegiwały się wygodnie na wszystkich siedziskach, dając w ten sposób gospodarzowi asumpt do żartów na temat braku wolnych krzeseł.

Jack znalazł sobie jednak jakiś drewniany taboret, zapewne potraktowany przez czworonożnych rezydentów salonu ze wzdargą jako zbyt niewygodny. Hannah natomiast zmuszona była przysiąść na brzeżku fotela, którego centrum okupował ze stoickim spokojem i prawdziwie królewską godnością okazały puszysty pers.

- Edwardzie - zagadnęła pana domu - macie teraz chyba jeszcze więcej kotów niż kiedyś, prawda?

- I owszem, liczba naszych czworonożnych sublokatorów wciąż się powiększa - odpowiedział. - Dzięki wam, moi mili państwo, powiększyła się właśnie o młodego oposa, przez którego stary Cooper będzie co najmniej przez tydzień fatalnie zaniedbywany przez własną ślubną małżonkę. Ale, co tam! - Edward z dobrodusznym uśmiechem machnął ręką. - Ja przecież już dawno przywykłem do tego, że u mojej najmilszej Marion na pierwszym miejscu zawsze muszą być jakieś poszkodowane zwierzaki. Ta kobieta po prostu nie mogłaby bez nich żyć, ot co!

- Dlaczego? - zdziwił się Jack.

- To proste: bo dzięki nim zaspokaja swój niezaspokojony instynkt macierzyński - wyjaśnił Edward. - Wiesz, Jack, moja Marion nigdy nie mogła mieć dzieci. Hannah ci o tym nie wspominała?

- Nie, nie było jakoś okazji.

- Rozumiem. No więc nie mogła, ze względów zdrowotnych, chociaż zawsze bardzo chciała. Smutna historia, prawda? Nie móc urodzić upragnionego potomstwa, to bardzo przykre?

- Czy ja wiem? - zastanowił się głośno Jack. - Nigdy właściwie nie planowałem zostać ojcem.

- Naprawdę? A dlaczegoż to? - Teraz z kolei Edward był mocno zdziwiony.

Jack wzruszył ramionami, najwyraźniej nie mając ochoty odpowiadać na to nieco niedyskretne pytanie. Mruknął tylko wymijająco:

- Za stary już jestem na takie rzeczy, Edwardzie, czterdziestka coraz bliżej.

- A dokładnie jak blisko, Jack, jeśli można cię o to zapytać? Ile też sobie w obecnej chwili liczysz wiosen?

- Dokładnie trzydzieści pięć.

- No, to nie jestem pewien, czy już podlegasz pod ochronę zabytków! - zażartował Edward. Po czym, zmieniając kłopotliwy temat, zapytał: - Czego się napijecie, moi mili? Hannah, wypowiedz się, proszę, w takiej oto materii: myśliwska jałowcówka pod steki, a później kropelczka portwajnu. Może być? Jack, a co ty mi powiesz na taką propozycję? Zostajecie przecież u nas na lunchu, prawda?

- Ma się rozumieć, że zostają! A jałowcówka i portwajn to całkiem przyzwoity zestaw, Edwardzie - odpowiedziała za zdeorientowanych z lekka gości Marion, stanąwszy akurat w progu.

Na rękę trzymała oposka. Ulokowany, zamiast w matczynym worku, w... cieplej wełnianej skarpecie, ssał głośno i łapczywie mleko z niewielkiej niemowlęcej butelki ze smoczkiem.

- Edwardzie, nie trać czasu, tylko zajmij się co żywo tymi trunkami! - zakomenderowała Marion. - Hannah tymczasem pomoże mi w kuchni, a Jack dokończy karmienie naszego malucha.



- Dlaczego akurat ja mam karmić tego kosmatego cudaka? - obruszył się Jack.

- A dlaczego niby nie ty? - Marion Cooper rezolutnie odparowała postawione przez niego pytanie innym pytaniem. - Ćwicz się zawczasu w karmieniu niemowlaków, Jack, bo jak już się ożenisz z Hannah, to kto wie... Posłuchaj, ona mi kiedyś zdradziła tajemnicę, że bardzo chciałaby mieć jeszcze trzeciego chłopaka, a do kompletu córeczkę!

Edward Cooper odchrząknął głośno i upomniał gadatliwą małżonkę:

- Marion, kochanie, dajże Jackowi spokój! On wcale nie jest spragniony potomstwa, właśnie przed chwilą rozmawialiśmy na ten temat.

Pani Cooper spojrzała na Jacka okiem oficera śledczego, lustrującego fizjonomię osoby podejrzanej o popełnienie jakiegoś poważnego przestępstwa. Następnie przeniosła wzrok na męża i powiedziała z politowaniem:

- Nie bądź śmieszny, Edwardzie! Przecież każdy normalny człowiek chciałby mieć dzieci! A jeśli ktoś nawet mówi, że nie chce, to znaczy, że po prostu nie może ich mieć, i tyle! Cóż... - Marion Cooper westchnęła głęboko. - Niestety, zdarzają się czasem takie smutne przypadki, takie przykre problemy.

Marion umilkła, najwyraźniej po to, by skuteczniej stłumić dławiące ją w gardle i napływające jej do oczu łzy. Hannah popatrzyła na nią ze szczerym współczuciem, a następnie rzuciła znaczące spojrzenie Jackowi. Ten skinął nieznacznie głową, na znak, że rozumie jej prośbę o wyrozumiałość dla pani Cooper.

- Masz całkowitą rację, Marion - powiedział. - Są różne takie przykre życiowe problemy. Niektórzy, niestety, je mają. Ja akurat też.

Jack mówił w skupieniu i tak poważnym tonem, że Hannah wcale nie była pewna, czy istotnie tylko dyplomatycznie blefuje, nie chcąc robić przykrości gospodyni, czy też... po prostu mówi prawdę.

Marion w zadumie pokiwała głową i stwierdziła z ubolewaniem:

- Strasznie mi cię szkoda, Jack, taki chwacki mężczyzna! No, ale cóż, jak los się uprze, to człowiek nic nie poradzi. Więc kiedy już nie można zatroszczyć się o własne dzieci, to trzeba chociaż zastępczo. Zwierzątko też stworzenie boskie, Jack, więc się nie migaj, tylko bierz ode mnie tego kosmatego malucha i go karm! - zarządziła jowialnie

Marion, odzyskując swój utracony przejściowo pod wpływem wzruszenia rezon.

Dostawszy Jacka Marshalla za piastuna, młodziutki opoś nadal ssał mleko z butli z równym zadowoleniem i hałasem, jak przedtem, na rękach Marion. Zabawnie cmokał i posapywał, a przy tym spoglądał potężnemu mężczyźnie w oczy z taką bezgraniczną ufnością, jakby chciał mu powiedzieć: "Wiem, że jesteś kimś dobrym, wielki człowieku! To przecież ty mnie uratowałeś. i ty mnie ogrzałeś na swoim wielkim sercu. Kocham cię za to!"

Widok był tak rozczulający, że wszyscy obecni w saloniku, kontemplując go, zastygli na dłuższą chwilę w bezruchu i milczeniu. Pierwsza ocknęła się Marion.

- Edwardzie, no co tak stoisz? Podobno miałeś przecież zejść do piwniczki po trunki! - przypomniała mężowi. - A ciebie, kochaniutka - zwróciła się do Hannah - zapraszam tymczasem do kuchni, bo jesteś mi pilnie potrzebna do pomocy w przyrządzaniu sałatki. Nasz Jack doskonale tu sobie poradzi ze zwierzakiem.

Towarzystwo rozeszło się, zostawiając Jacka sam na sam z małym oposem.

W kuchni Marion Cooper posadziła Hannah za drewnianym stołem, przy stercie warzyw przeznaczonych do poszatkania. Nie pozwoliła jej jednak zająć się nimi w milczeniu, tylko natychmiast podjęła rozmowę.

- Kawał chłopca z tego twojego Jacka! - zauważyła na wstępie. - Tylko czy ty jesteś pewna, Hannah, że dobry z niego materiał na męża? - zatroskała się.

Zakłopotana Hannah, zarumieniwszy się z lekka, postanowiła sprowadzić wymianę zdań na nieco mniej zasadnicze tory.

- No wiesz, Marion, nie przejmuj się aż tak bardzo - odparła trochę wykrętnie - z tym naszym małżeństwem to jeszcze wcale nie taka pewna sprawa, mamy oboje mnóstwo czasu do namysłu, a w tym czasie niejedno przecież jeszcze może się zdarzyć. Ale na razie Jack jest bardzo miły dla mnie, to muszę przyznać.

- Miły, powiadasz? To dobrze, kochaniutka, to bardzo dobrze - ucieszyła się Marion. - Bo wiesz co? Nie pogniewaj się czasem, ale jak już się zdarzyła okazja, to muszę ci to powiedzieć: ten twój doktorek, Hannah, znaczy Dwight, to cię traktował jak jakąś, nie przymierzając, posługaczkę. Ciągle tylko: "Hannah to, Hannah tamto, przynieś, wynieś,

pozamiataj!" Nic z dżentelmena! Co z tego, że znany lekarz, skoro dla żony zwyczajny gbur? Jakeście tu czasem do nas razem wpadali, a pan doktor to chyba głównie na te napitki Edwarda, bo mało co się odzywał, to przecież aż mnie coś ciskało. Tak ci nieraz, kochaniutka, złośliwie przyciął, że od razu miałam chęć mu ostro przygadać do słuchu. No ale, ma się rozumieć, nie chciałam się wtrącać w wasze małżeńskie sprawy.

- Nasze małżeńskie sprawy już się, na szczęście, definitywnie zakończyły, Marion - stwierdziła z pewną zadumą Hannah. - Muszę ci powiedzieć, że w ostatni czwartek otrzymałam dokument ostatecznie orzekający rozwód. Było, minęło. Swoją drogą, kiedy przed laty poznałam Dwighta Althorpa, to go uważałam za naprawdę fantastycznego faceta, wiesz? Niesamowicie mi to imponowało, że jest taki inteligentny, taki ambitny. Pobraliśmy się. No i dopiero wtedy wyszło szydło z worka! Że ambitny i inteligentny, to i owszem, ale do tego arogancki, pyszałkowaty, egoistyczny. Że uwielbia poniżać innych, tylko i wyłącznie w tym celu, żeby samego siebie wywyższyć, żeby się poczuć kimś ważniejszym, lepszym, bardziej wartościowym. Ponieważ Dwight akurat mnie miał stale w domu pod ręką, to na mnie wyżywał się najchętniej i najczęściej.

- Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że posuwał się do rękoczynów, Hannah? - zaniepokoiła się nie na żarty pani Cooper.

- O nie, Marion, co to, to nie! Dwight przecież zawsze tak bardzo oszczędzał te swoje bezcenne ręce chirurga - wyjaśniła Hannah z pełnym gorczy i ironii uśmiechem. - On dręczył mnie psychicznie, to mu w zupełności wystarczało. Wiesz, ciągle był ze mnie niezadowolony, ciągle mnie krytykował, upominał, pouczał, poprawiał, nie tylko na osobności, ale i przy ludziach, przy świadkach. Nawet przy dzieciach.

- Wiem, wiem, kochaniutka, wystarczająco dużo zauważyłam, sama ci to przecież powiedziałam przed chwilą.

- No właśnie! Dwight doprowadził w końcu do tego, że czułam się taka jakaś... no, do niczego, byle jaka. Pomyśl, jak mogło być inaczej, skoro mi ciągle wypominał a to tępotę, a to oziębłość, a to tuszę.

- Tuszę? - zdziwiła się Marion.

- A dlaczegoż by nie? Przecież wszystko można wmówić komuś, kto jest taki naiwny i zaślepiiony, jak ja byłam przez całe lata naszego małżeństwa. Dwight skutecznie odgrywał przede mną rolę... czy ja wiem... jakiegoś geniusza, bohatera, bożka! Widzisz, on był dla mnie swego czasu niesamowitym autorytetem, byłam gotowa bez namysłu i bez chwili wahania uwierzyć w każde jego słowo, także na swój temat!

Musiało minąć naprawdę dużo czasu, zanim jako tako przejrzałam na oczy i pojęłam całą tę perfidną grę pana doktora.

- Hannah, nie pogniewaj się, że cię spytam - odezwała się Marion - ale czy twoi chłopcy... No, wiesz, na oko obydwaj są tacy podobni do Dwighta... Więc, czy któryś przypadkiem nie wrodził się w ojczulka charakterem? Albo, co nie daj Bóg, obydwaj?

Hannah uśmiechnęła się.

- Na całe szczęście chyba nie - wyjaśniła. - Chris i Stuart to dobre chłopaki, z Dwighta wzięli tylko skórę, ale z usposobienia żaden go nie przypomina. Zdolności po prawdzie też aż takich, jak on, chyba nie mają, uczą się nieźle, ale wolą sport i świeże powietrze od ślęczenia nad podręcznikami. Więc może żaden nie zrobi takiej błyskotliwej kariery jak Dwight, ale też mam nadzieję, że żaden nie zrobi w życiu nikomu takiej krzywdy, jak on mnie.

- To dobrze, Hannah, to bardzo dobrze - ucieszyła się Marion. - Powiedz mi jeszcze, kochaniutka, czy sąd przyznał ci pełną opiekę nad dziećmi? - zapytała.

- Tak, mam po rozwodzie pełną opiekę nad dziećmi - potwierdziła Hannah. - Dwight zresztą nawet nie próbował mydlić oczu sędziemu, że jest zainteresowany sprawowaniem opieki nad naszymi chłopakami. Wiesz, Marion, on jest teraz tak niesamowicie zajęty tą swoją młodą damą, tą chodzącą doskonałością, że...

- A cóż w niej takiego doskonałego, Hannah?

- Wszystko, Marion, myślę, że już w tej chwili wszystko! To jedna z jego pacjentek, upiększył ją dokładnie tak, jak chciał, jak sobie zaplanował. Więc chyba nawet nic w tym dziwnego, że koniec końców stracił dla niej głowę!

- Szalony romans?

- Powiedzmy. A może raczej: najpoważniejszy z serii? W każdym razie na pewno nie pierwszy po naszym ślubie. Nie mam konkretnych dowodów, ale z dużym prawdopodobieństwem przypuszczam, że mój eks-mążzonek już od dość dawna pozwalał sobie na rozmaite skoki w bok. Coś takiego zawsze się wyczuwa, jak śwąd w powietrzu, prawda? Więc może to i dobrze, że ostatecznie wszystko pękło, że się raz na zawsze rozleciało? Co było, to minęło, Marion, nie ma sensu oglądać się wstecz! Zaczęłam nowe, samodzielne życie, na własny rachunek, nawet dość szybko jakoś tam stanęłam na nogi. Żyję, pracuję, no i...

Hannah przerwała nagle swoje zwierzenia, zorientowawszy się, że w otwartych drzwiach kuchni stoi Jack Marshall. Stoi i słucha.

Co usłyszał? Tego Hannah nie mogła być pewna, ale tak czy inaczej doszła do wniosku, że usłyszał zbyt wiele. Skonsternowana milczała więc, nie będąc w stanie wydobyć z siebie głosu.

Kłopotliwą sytuację uratowała Marion.

- Jak tam nasz maluch? - spytała Jacka jakby nigdy nic. - Dużo wydoił?

- Wszyściutko, Marion, jeśli chcesz wiedzieć, do ostatniej kropelki! - odparł Jack, uśmiechając się szeroko.

- Nielichy z niego żarłok!

- Skoro się już najadł do syta, to możesz mi go tymczasem oddać. Zaniosę maluszka do pralni, niech sobie w spokoju śpi. Przygotowałam mu tam takie wiszące łóżeczko.

- Wiszące? - zdziwił się Jack.

Marion zachichotała.

- Ano właśnie, ni mniej, ni więcej, tylko wiszące! - potwierdziła. - Będzie sobie w nim spał jak, nie przymierzając, marynarz w hamaku. Wiesz, Jack, ja po prostu zaobserwowałam - dodała Marion gwoli wyjaśnienia - że właśnie tak, na wisząco, najlepiej się wypoczywa zwierzacom, które w naturze spędzają życie na drzewach. Chodź, jak chcesz, to ci pokażę jego legowisko - zaproponowała.

- Za moment będę z powrotem, kochaniutka - zwróciła się do Hannah - spokojnie szatkuj dalej!

Hannah posłusznie szatkowała, zastanawiając się równocześnie, ile też Jack mógł usłyszeć. A także podsycając w sobie nadzieję, że nie usłyszał zbyt wiele.

*Czego właściwie nie chciałabym mu ujawnić z mojego życia? - zastanawiała się. No, cóż, chyba tego, jak bardzo byłam zdominowana przez Dwighta.*

Nie przerywając szatkowania, Hannah zaczęła rozmyślać, jak to się stało, że Dwight Althorp uzyskał nad nią tak nieograniczoną władzę. I że tak długo zdołał tę władzę, nawet bez specjalnych starań ze swej strony, utrzymać?

To wszystko chyba wzięło się stąd - doszła do wniosku - że kompletnie brakowało mi oparcia we własnej rodzinie, że nie miałam nikogo bliskiego i życzliwego, kto mógłby mi czasem coś doradzić czy po prostu pocieszyć w trudnych chwilach. Zawsze byłam w życiu zdana wyłącznie na siebie i... na Dwighta, którego się uczepiłam jak jakiejś ostatniej deski ratunku!

Hannah była jedynaczką, osieroconą przez matkę w wieku zaledwie piętnastu lat. Jej ojciec był modelowym typem bezdusznego, nieczułego samoluba. Po przedwczesnej śmierci żony troszczył się tylko o to, by mieć pieniądze na uprawianie swojej jedynej, ale za to niepohamowanej życiowej pasji: hazardu.

Powodowany wyłącznie egoistycznymi pobudkami, ojciec nakłonił Hannah do opuszczenia szkoły jeszcze przed maturą i szybkiego zdobycia, poprzez ukończenie odpowiednich kursów, zawodu sekretarki. Liczył zapewne na to, że córka, podjąwszy pracę, wspomogę go finansowo. Srodze się jednak przeliczył w tym względzie.

Hannah zdecydowała się bowiem opuścić nie tylko ojca i nieprzyjazny rodzinny dom, lecz i rodzinne miasto Wollongong. Przeniosła się do Sydney i rozpoczęła życie na własny rachunek. Wynajęła samodzielny pokój, znalazła sobie pracę. Została osobistą sekretarką jednego z profesorów Wydziału Medycznego Uniwersytetu w Sydney.

Miała wówczas dopiero dziewiętnaście lat. Tak się złożyło, że doktor Dwight Althorp, dwudziestodwuletni adiunkt, wykładający na uczelni zagadnienia chirurgii plastycznej i prowadzący również z powodzeniem prywatną praktykę lekarską, zaprosił ją pewnego dnia na kolację.

I ogromnie się zdziwił, kiedy po pierwszej randce nie zdecydowała się pójść z nim do łóżka. Ani po drugiej, ani po trzeciej, ani po dziesiątej!

Kiedy trzy miesiące później brali ślub, Hannah nadal pozostawała dziewicą. Noc poślubną zapamiętała jako koszmar, tak bardzo była przerażona, oszołomiona, zawstydzona. Z czasem, oczywiście, intymne sprawy pomiędzy nią a Dwightem ułożyły się nieco lepiej. Na tyle dobrze, że dokładnie w dziewięć miesięcy i jeden tydzień po ślubie Hannah powiła pierwородnego syna Chrisa. Na tyle jednak źle, że przez cały długi okres ciąży mąż ani trochę się nią nie interesował.

Skoro zobojętniałam mu tak szybko, pomyślała z goryczą Hannah, to właściwie od razu mogłam się spodziewać krachu naszego małżeństwa. Gdybym była starsza, dojrzała, bardziej życiowo

doświadczona, pewnie zdałabym sobie z tego sprawę. Ale że byłam młodzieńka i naiwna, to... Rozmyślenia Hannah przerwało nagłe wejście Marion Cooper i Jacka Marshalla.

- Maluch śpi jak aniołek! - uroczyście i z zadowoleniem obwieścił Jack.

- Więc my będziemy mieli czas, żeby do syta się najeść do woli sobie pogadać - dodała Marion. - Jestem ciekawa, Jack, jak też ci zasmakują napitki z piwniczki mojego Edwarda?

- Och, Marion, przecież ja nie jestem żadnym tam koneserem! - zastrzegł się Jack. - Kufelek najzwyklejszego piwa najzupełniej mi wystarcza do posiłku. A nawet szklanka wody!

Marion Cooper roześmiała się.

- Wiesz ty co, Jack? Mogę się z tobą założyć, że jak pokosztujesz portwajnu z piwniczki Edwarda, nie będziesz już miał ochoty ani na wodę, ani na piwo. A jakbyś jednak miał ochotę, tylko tak szczerze, bez udawania, to oczywiście dostaniesz. I wtedy ja przegrywam. Zgoda?

- Zgoda, Marion. Zakładamy się.

Zakład stanął i Jack Marshall go przegrał. Portwajn Edwarda był tak doskonały, a atmosfera w saloniku państwa Cooperów tak sympatyczna, że biła już piąta na starym zegarze, gdy oboje z Hannah zaczęli się żegnać z gospodarzami i wybierać do domu.

- Wpadnijcie jutro! - zaprosiła ich Marion.

Jack zdecydował bez wahania:

- Z miłą chęcią, wpadniemy na pewno!

Gdy po pięciogodzinnej gościnie szli już, objęci w pół, niezbyt spiesznym i nie całkiem może pewnym krokiem w kierunku domu, Hannah zapytała:

- Spodobał ci się Cooperowie, prawda?

- A dziwisz się? - odrzekł. - Przecież to naprawdę przemili ludzie!

- I ja tak zawsze uważałam, Jack, ale... Wiesz, niektórym ludziom Marion wydaje się zbyt bezceremonialna, zbyt hałaśliwa, zbyt jowialna. No, co tu dużo mówić, po prostu trochę męcząca.

- Niektórym ludziom czy temu bezdusznemu draniowi, który był twoim mężem? Powiedz szczerze!

- A więc podsłuchiwałeś! - obruszyła się. - Jak mogłeś, Jack?

- Przypadek, Hannah, nie ma o czym mówić, nie ma do czego wracać! Co było, minęło, nie dbam o to, chociaż ci, oczywiście, współczuję. Ale nie można żyć przeszłością, ani moją, ani twoją. Dlatego chciałbym ci teraz powiedzieć tylko tyle: dla mnie jesteś najinteligentniejszą, najpiękniejszą i najponętniejszą kobietą na świecie! Ja po prostu za tobą szaleję, Hannah, ja cię po prostu uwielbiam! Więc spójrz mi w oczy i odpowiedz: kiedy weźmiemy ślub?

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Przedłużające się milczenie Hannah zirytowało Jacka. Wybuchnął:

- Kobieto, odpowiedz mi coś wreszcie! Tylko, bardzo cię proszę, już może nie zawracaj mi głowy tym, że musimy poczekać, aż odzyskam pamięć - zastrzegł. - Co z tego, że nie pamiętam tych ostatnich sześciu tygodni? A jeśli nawet już nigdy ich sobie nie przypomnę? Czy to cokolwiek zmieni pomiędzy nami?

- Nnno... nie wiem, chyba nie - odpowiedziała dość niepewnie Hannah. A po chwili zapytała nieśmiało: - Jack, czy ja naprawdę... Czy naprawdę już dawno ci się spodobałam?

- No przecież ci mówiłem, kobieto! Wpadłaś mi w oko już przy pierwszym naszym spotkaniu, spodobałaś mi się od pierwszego wejrzenia. To akurat pamiętam doskonale - podkreślił Jack. - Potem nieraz zerkałem na ciebie łakomie w czasie pracy, ale... Wiesz co, Hannah, ty wydawałaś mi się zawsze taka jakaś nieprzystępna, jak prawdziwa dama. Więc po prostu nie miałem nigdy odwagi do ciebie wystartować, rozumiesz? Jakoś się bałem, że mnie zlekceważysz albo wyśmiesz. Więc tylko sobie czasem wyobrażałem to i owo. Jak to się ładnie mówi? Puszcząłem wodze fantazji! Do licha, Hannah, na całe moje szczęście nie skończyło się na tym i fantazja przeszła koniec końców w rzeczywistość, wtedy w biurze...

- W biurze? - zdziwiła się Hannah, zapomniawszy na ułamek sekundy o historii, którą sama na użytek dotkniętego amnezją Jacka zmyśliła. - A, tak! No, oczywiście, w biurze - zreflektowała się. - W



biurze wszystko się między nami zaczęło.

- No właśnie! Ale ja wcale nie chcę, Hannah, żeby to wszystko, co się teraz dzieje pomiędzy nami, miało się na biurze zaczynać i kończyć. Nie mam ochoty na jakiś beznadziejny biurowy romans. Dlatego cię zapytałem o termin naszego ślubu!

Wymiana zdań powróciła do punktu wyjścia. Hannah westchnęła głęboko i powiedziała:

- Wiesz co, Jack? Taki jakiś niezwykły jest ten dzisiejszy dzień i wieczór. Czy musimy koniecznie akurat w tej chwili martwić się o przyszłość, robić poważne plany, myśleć o tym, co kiedyś będzie? Czy nie możemy na razie cieszyć się tym, co jest teraz? Skoro to jest takie niezwykle, takie cudowne, takie piękne.

- Co prawda, to prawda, masz całkowitą rację, że to jest piękne! - zgodził się Jack. - Kobieto - dodał - właściwie to ty jesteś taka piękna. Taka piękna, że marzę wyłącznie o tym, żeby rozpalić porządny ogień w kominku i w blasku płomieni kochać się z tobą przez całą noc na dywanie! I żeby rano znów cię zapytać o ślub i wtedy już wreszcie usłyszeć jakąś konkretną odpowiedź. Tylko o tym teraz marzę, Hannah, o niczym innym, mówię ci szczerze. I powiem ci więcej, jestem pewien, że te moje marzenia już za chwilę zaczną się spełniać!

Doszli akurat do domu. Hannah milczała, zamyślona, podekscytowana, wsłuchana w kuszące, a po trosze także impertynenckie słowa Jacka i w przyspieszone bicie własnego serca. Jack niecierpliwie szarpnął za klamkę.

- Zamknięte, klucz jest schowany pod doniczką - przypomniała mu Hannah.

- Też mi schowek!

- Symboliczny.

- No właśnie!

Jack Marshall, śmiejąc się, wy dobył klucz spod doniczki z pelargonią, wetknął go do zamka, przekreślił, otworzył szeroko drzwi. Nim Hannah zorientowała się, co zamierza dalej zrobić, on po prostu porwał ją na ręce.

- Przeniosę cię przez próg, kobieto, jakbyśmy byli już po ślubie! - oświadczył.

- Jack, nie wygłupiaj się, nie powinieneś dźwigać ciężarów.

- Przecież ty jesteś lekka jak piórko!

- Nie wygłupiaj się, Jack, ja wcale nie jestem taka lekka! To tylko ty jesteś niesamowicie silny! Masz takie wspaniałe, muskularne ciało! - odpowiedziała komplementem na komplement.

- Całe należy do ciebie - stwierdził Jack, przeniósłszy Hannah przez próg i hol do salonu. - Brrr, ależ tu zimno! - dodał. - Pozwolisz, że cię teraz postawię, kochanie, i złapię się za drewno? Napalimy w kominku i wtedy... Pamiętasz o moim marzeniu, Hannah?

- Pamiętam - szepnęła.

- I zgadzasz się je spełnić?

- Zgadzam się na wszystko, Jack. Na wszystko, co zechcesz.

- Och, Hannah!

Przez chwilę Hannah miała wrażenie, że Jack natychmiast, nie zważając na dojmujący chłód, jaki panował w saloniku, zedrze z niej ubranie i weźmie ją w ramiona. Takim bowiem gwałtownym ogniem pożądania rozjarzyły się nagle jego oczy!

Jack jednak tylko spojrzał tak, jakby próbował rozebrać ją wzrokiem, po czym, potężnym wysiłkiem odzyskując samokontrolę, mruknął po części do Hannah, a po części sam do siebie:

- Cierpliwości! Niech to będzie długa, gorąca noc, a nie tylko krótka gorąca chwila... na mrozie. Hannah, pokaż mi, gdzie trzymasz drewno, żebyśmy mogli już się wziąć za ten wygasły kominek.

Przez dobre pół godziny Jack zajmował się wyłącznie rozpaleniem i podsycaniem ognia. Hannah trochę mu pomagała, a trochę... Po prostu rozmyślała o tym, co miało niebawem nastąpić.

Rozmyślała z jakąś niecierpliwą radością, ale i z pewną dokuczliwą obawą. Bała się. Właściwie czego? Przede wszystkim chyba tego, że kiedy Jack ujrzy ją naga, z odpowiedniego dystansu, w pełnym świetle, to być może... Może poczuje się rozczarowany? Może dostrzeże jakieś ukryte mankamenty jej figury? Może dojdzie do wniosku, że rzeczywistość jest znacznie mniej atrakcyjna od fantazji?

Gdy ogień zapłonął już na kominku równo i mocno, wypełniając pokój ciepłem i fantastycznym, pulsującym światłem, Jack podszedł do Hannah i ujął ją za rękę.

- Chodź, kobieto - szepnął. - Niech się spełnią nasze najśmielsze

marzenia.

I najśmielsze marzenia naprawdę się spełniły!

Ukrywane, tłumione przez całe lata marzenia Hannah o tym, by być kochaną tak po prostu, spontanicznie, naturalnie, bez udziwnień, bez wygórowanych wymagań i ciągłych pouczeń, w jakich celował Dwight Althorp. Marzenia o tym, by odnaleźć w życiu partnera, który czułością, troską, akceptacją - dodałby jej odwagi do miłości, zamiast ją ustawicznie krytykować, onieśmielać i wpędzać w kompleksy. Marzenia o czymś, mogłoby się wydawać, zwyczajnym i oczywistym, niekiedy jednak tak trudnym, wręcz niemożliwym do osiągnięcia w wielu związkach - o przyjemności bycia razem i o radości kochania.

Kiedy Hannah obudziła się w środku nocy na przestronnym posłaniu z dwu zestawionych razem sof, jakie specjalnie na ich miłosną noc przy kominku przygotował wieczorem Jack, stwierdziła ze zdumieniem, że jej niezwykle mężczyzna nie śpi, tylko leżąc na boku, patrzy na nią rozkochanymi oczyma.

- Co robisz? - zapytała.

- Pilnuję ognia w kominku, żeby nie zgasł - odpowiedział Jack. - I kontempluję twoją urodę, Hannah - dodał. - Jesteś piękna.

- Ty też, Jack. Wspaniały z ciebie facet, bosko zbudowany!

- Naprawdę tak uważasz, Hannah? Są kobiety, które nie lubią wielkoludów.

- Te kobiety są beznadziejnie głupie, Jack. Tak uważam. Przynajmniej od dziś.

- Och, Hannah! Przy tobie naprawdę spełniają się moje najśmielsze marzenia, wiesz?

- A moje marzenia spełniają się przy tobie, Jack, muszę ci to szczerze powiedzieć! Z tobą wszystko jest takie cudowne, takie radosne, takie słodkie. Po prostu naturalne, Jack. I piękne!

- Bo ty jesteś piękna, muszę ci to powtórzyć!

- Och, Jack! - westchnęła głęboko Hannah i z ufnością wtuliła się w potężne i muskularne, ale tak bardzo przecież czułe ramiona leżącego obok niej wielkoluda.

Nie usnęła jednak. Zaczęła zastanawiać się nad tym, co już się stało oraz nad tym, co powinno się stać, by ona i Jack mogli nadal być

razem.

Przede wszystkim on musi poznać całą prawdę! - myślała. Musi usłyszeć tę prawdę ode mnie, z moich ust, zanim ktoś inny mu ją uświadomi, a nawet - zanim wróci mu pamięć i sam sobie wszystko przypomni. Prawdę o sobie, o mnie i o tamtej niegodziwej kobiecie, Felicii Fay. Przecież po tym, co między nami zaszło, ja nie mogę już dłużej przed nim tej Felicii ukrywać. Ja muszę ją pokonać! A może już ją pokonałam? Kto wie. Nie dowiem się tego, póki nie wyjawię Jackowi jej istnienia. A chcę się dowiedzieć! Więc powiem mu o wszystkim natychmiast, to znaczy powiem mu rano, przy śniadaniu, właściwie po śniadaniu. Tak będzie najlepiej, żadnego odwlekania na potem, od razu rano, po śniadaniu, Jack musi poznać całą prawdę!

Podjęcie trudnej decyzji i powzięcie niezłomnego postanowienia przyniosło Hannah ulgę, nie na tyle jednak znaczną, by była w stanie usnąć.

- Jack, która godzina? - zapytała.

- A czy godzina ma w tej chwili dla ciebie jakieś istotne znaczenie?

- Nnno... chyba nie.

- W takim razie nie będę sprawdzał. Tylko wstanę i dołożę drewna do ognia, żebyśmy do rana nie pomarzli.

- Ja też wstanę, Jack. Pójdę do łazienki.

- Nie siedź tam za długo, Hannah. Wróć zaraz do mnie, bo będę tęsknił.

- Wrócę za moment - szepnęła z uśmiechem. - Poczekaj na mnie, nie zasypiaj.

- Nie usnę, na pewno!

- Trzymam cię za słowo.

Hannah wstała. Nie krępując się już ani trochę własnego ciała, ocenionego wszakże przez Jacka z nie ukrywanym i całkowicie szczerym podziwem jako piękne, naga przeszła do łazienki. Śmiało, jak nigdy dotąd, spojrzała w zawieszone tam na ścianie duże lustro. Za to z politowaniem i lekceważeniem zerknęła na łazienkową wagę, przez długie lata będącą dla niej istnym narzędziem tortur.

Jaka jestem, widać na oko, pomyślała. Prawdziwy mężczyzna nie

musi spoglądać na skalę wagi, żeby ocenić, czy mu się podobam, czy nie. A skoro mogę się podobać mojemu mężczyźnie, to...

Uśmiechając się do własnych odważnych myśli, Hannah szybciotko odświeżyła się nieco, skropiła odrobiną perfum i wróciła do saloniku, gdzie niecierpliwie czekał na nią Jack Marshall. Jej cudowny, prawdziwy mężczyzna!

Po pieśczoćtach, które zdawały się trwać całą wieczność i doprowadziły oboje kochanków na skraj zamroczenia, nad ranem nadeszła wreszcie pora słodkiego, omdlewającego wyczerpania i uspokojenia zmysłów.

Hannah szepnęła:

- Wiesz, Jack? Dla ciebie zrobiłabym chyba wszystko.

- Co ty powiesz, naprawdę? - Jack zaczął się z nią żartobliwie droczyć. - W takim razie spełnij moje dwie prośby - dodał, poważniejąc.

- A jakież to?

Jack ujął Hannah za rękę.

- Pozbądź się tego. - Wskazał na zaręczynowy pierścionek, ofiarowany jej przed laty przez Dwighta Althorpa. - I jeszcze tego. - Wskazał na ślubną obrączkę. - Twoje małżeństwo z doktorkiem - stwierdził - to musiała być prawdziwa męka. Dlatego pozbądź się tych rzeczy! Wyrzuć je. Albo sprzedaj. Albo schowaj na dnie jakiejś głębokiej szuflady, jeśli wolisz.

Nic nie mówiąc, Hannah zsunęła z palców pierścionek i obrączkę i po prostu cisnęła je w kąt pokoju.

- Zadowolony? - zapytała.

- Mhm.

- A jaka jest ta druga prośba, Jack?

- Wyjdź za mnie, to wszystko!

Spojrzała mu prosto w oczy. Leciutko, ale zdecydowanie pokręciła głową.

- Nie mogę, Jack - wyszeptała. - Nie mogę! Nie pytaj mnie, proszę, dlaczego, ale nie.

- Ciii... - Jack nie pozwolił Hannah dokończyć rozpoczętego

zdania, zamykając jej usta pocałunkiem. - Nie mów zbyt wiele, nie przesadzaj za wcześnie sprawy - przekonywał ją zdławionym głosem w przerwach pomiędzy kolejnymi namiętnymi pocałunkami. - Może jest jeszcze dla ciebie za wcześnie na taką poważną decyzję? To nic, Hannah, ja poczekam. Jack Marshall jest cierpliwy, niesamowicie cierpliwy... a ty jesteś taka piękna, niesamowicie piękna. Jesteś po prostu niezwykła, Hannah! - zakończył.

- Ty też, Jack.

- Więc dlaczego...

- Ciii... - Tym razem ona zmusiła go pocałunkiem do zamilknięcia. - Nie pytaj mnie o to teraz, nie potrafię ci w tej chwili odpowiedzieć, nie umiem zebrać myśli. Za dużo byłoby wrażeń, jak na jedną noc. Porozmawiamy o wszystkim poważnie rano. Zgoda, Jack?

- Zgoda. Trzymam cię za słowo.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Musimy teraz poważnie porozmawiać, Jack. Zrobię tylko jeszcze kawę - odezwała się Hannah po śniadaniu, które zjedli w kompletnym milczeniu nazajutrz rano, a właściwie już prawie w południe.

Ścienny zegar wskazywał za dziesięć dwunastą. Hannah i Jack siedzieli po przeciwnych stronach kuchennego stołu, oboje trochę niewyspani i solidnie wyczerpani po burzliwej miłosnej nocy.

Jack nie zdążył się przed posiłkiem ogolić, był za to już kompletnie ubrany, w dżinsy i bawełnianą bluzę. Hannah z kolei miała już wprawdzie za sobą odświeżającą kąpiel, ale za to na sobie jedynie różowy szlafroczek, gdyż nie starczyło jej czasu na włożenie czegokolwiek więcej.

Hannah podała kawę. Jack przełknął odrobinę aromatycznego napoju i zapytał:

- Czy to znaczy, że zebrałaś już myśli?

- Mniej więcej - potwierdziła Hannah. - Widzisz, Jack, są takie

sprawy, ważne sprawy, o których ja wiem, a ty nie wiesz, nie pamiętasz.

- Czyżbym cię słusznie podejrzewał, że coś przede mną kryjesz?

- No, w pewnym sensie słusznie - zgodziła się Hannah. - Ale nie przerywaj mi, proszę - zastrzegła - bo stracę wątek i wszystko do reszty pogmatwam. No więc, są takie sprawy... z ostatnich sześciu tygodni... o których nie wiesz, a powinieneś wiedzieć.

- I dowiem się o nich teraz od ciebie?

- Właśnie.

- No więc mów śmiało, Hannah, nie krępuj się ani trochę. Nawet jeśli jestem bankrutem, a zdarzyło mi się o tym zapomnieć po wypadku, to w końcu przecież i tak ktoś musi mnie uświadomić.

- Tu nie chodzi o interesy, Jack, tylko o twoje sprawy osobiste.

- A o twoje nie?

- O moje też, w pewnym sensie. Ale nie przerywaj mi już, proszę!

- Już milczę i zamieniam się w słuch. Możesz mówić.

- Widzisz... Jack... - Hannah odezwała się głosem tak ze zdenerwowania zdławionym, że każde słowo prawie siłą musiała wydobywać z gardła - te twoje... zaręczyny... odbyły się... naprawdę... ale nie ze mną!

Ostatnie, najistotniejsze stwierdzenie wyrzuciła z siebie z szybkością pocisku, wyskakującego z lufy pistoletu. Byle prędzej! Byle to, co najgorsze, mieć już za sobą! Uff, nareszcie. Hannah westchnęła głęboko i umilkła.

- Nie ze mną... - mechanicznie, beznamietnym tonem powtórzył Jack, robiąc wrażenie kogoś, kto nie do końca rozumie sens wypowiedzianych przez siebie słów. - Nie z tobą, Hannah? - Ożywił się nagle, zupełnie jakby ocknął się z odrętwienia i dopiero w tym momencie zrozumiał, o czym mowa. - W takim razie z kim, u licha?

- Z pewną... kobietą. - Hannah nadal była tak speszona, że z trudem cedziła słowa. - Ma na imię Felicia. Felicia Fay. Jest aktorką... i modelką. Poznałeś ją niedawno, zaręczyliście się w zeszłym tygodniu. Ona... Ona ma takie długie blond włosy, Jack!

- Blond włosy - powtórzył Jack, marszcząc brwi w głębokim zamyśleniu. - Aha, blond włosy! - wykrzyknął, najwyraźniej skojarzywszy pewne fakty. - Blondyna. To ta blondyna, którą widziałem

wczoraj, w tych przeblyskach pamięci?

- Ta sama - potwierdziła Hannah, opuszczając nisko głowę. - Felicia Fay, twoja prawdziwa narzeczona. Widziałeś ją na przyjęciu, prawda? To było wasze zaręczynowe przyjęcie, w ostatni czwartek.

- Aha!

Reakcja Jacka mocno zdziwiła Hannah. Z całą pewnością wszystko zrozumiał, ale najwyraźniej ani trochę się niczym nie przejął. Nie wydawał się zdenerwowany. Nie zerwał się z miejsca, nie zaczął na nią krzyżeć. Tym samym beznamiętnym tonem, co przed chwilą, zapytał tylko:

- Właściwie dlaczego zdecydowałaś się udawać moją narzeczoną, Hannah, tam w Sydney, w szpitalu? I dlaczego mnie potem przywiozłaś tutaj, w te góry?

- To była... taka nagła decyzja, Jack.

- Domyślam się, że nagła. Ale dlaczego ją podjęłaś? Przecież chyba musiałaś mieć jakiś powód?

- Miałam, Jack, oczywiście, że miałam! W czasie tego przyjęcia zaręczynowego, w czwartkowy wieczór, dowiedziałam się przypadkiem o Felicii takich rzeczy, że nie mogłam znieść myśli o twoim małżeństwie. Z nią, z taką kobietą!

- Z jaką, Hannah?

- Nieuczciwą! - Hannah z przejęcia podniosła głos niemal do krzyku. - Ona ma romans z Geraldem Boyntonem, Jack, już od dawna! I wcale nie zamierza tego romansu przerywać! A za ciebie chce wyjść tylko dlatego, żeby mieć bogatego męża. Bogatego, zapracowanego i takiego, który nie chce mieć dzieci! To słowa Felicii Fay, tak właśnie powiedziała.

- Tobie?

- Nie mnie, tylko Boyntonowi!

- A Boynton ci coś takiego powtórzył?

- Skądże znowu, Jack! Widzisz - zawstydzona Hannah nagle ściszyła głos prawie do szeptu - ja ich... Ja podsłuchałam ich rozmowę, na tarasie. Wymknęli się we dwójkę na taras, żeby porozmawiać... i nie tylko. Nie zauważyli mnie, bo przecież było ciemno.

- A coś ty tam robiła po ciemku na tarasie? - Jack nieoczekiwanie



zainteresował się najmniej, wydawałoby się, istotną ze wszystkich poruszonych przez Hannah kwestii.

- Ja? Wysłałam na taras... nno... na papierosa! - wykrztusiła Hannah.

- Paskudny nałóg, te papierosy, kobieto. Człowiek się niepotrzebnie truje, a na dodatek, jak widzisz sama po sobie, może się jeszcze na jakimś tam tarasie przeziębici. I nasłuchać niechący tego czy owego.

Kpi ze mnie albo oszalał pod wpływem szoku! - pomyślała Hannah, wysłuchawszy ogłoszonego przez Jacka komentarza na temat zgubnych skutków nikotynowego nałogu. Milczała zdezorientowana, dopóki jej nie zachęcił:

- No, Hannah, opowiadaj dalej! Co się później stało?

- Później? Później oni wrócili na przyjęcie, pojedynczo, najpierw Felicia, potem Gerald. A ja wróciłam zaraz do domu! Postanowiłam opowiedzieć ci szczerze o wszystkim następnego dnia rano, w biurze... otworzyć ci oczy. Ale następnego dnia, to znaczy przedwczoraj, w piątek, prosto z domu wybrałeś się na budowę i miałeś ten wypadek. Trafiłeś do szpitala, z częściowym zanikiem pamięci, podałeś pielęgniarce numer telefonu do mnie, to znaczy do biura. Przyjechałam natychmiast. Pielęgniarka mi powtórzyła, że prosiłeś o powiadomienie narzeczonej. I wtedy nagle mnie podkusiło, żeby....

- ...żeby udąć, że to ty nią jesteś?

- Właśnie! Jack, ja myślałam... ja chciałam tylko tak na tymczasem... żeby wydostać cię ze szpitala. Miałam zamiar odczekać, aż się trochę lepiej poczujesz i przyznać ci się do wszystkiego.

- Czy to znaczy, że do czegoś jeszcze?

Hannah zarumieniła się i wykrztusiła:

- Jeszcze do tego, Jack, że wysłałam Felicii Fay faks... w twoim imieniu. Napisałam, że chcesz ponownie przemyśleć sprawę waszych zaręczyn, więc wyjeżdżasz na weekend w pewne ustronne miejsce. I żeby cię nie szukała.

- Ohoho! Jak widzę, zapięłaś wszystko na ostatni guzik, Hannah. Podziwiam!

- Nie kpij ze mnie, Jack, proszę! Wiem, że nie powinnam była tego wszystkiego robić, że nie powinnam była się wtrącać w twoje osobiste

sprawy. Mimo najlepszych intencji, nie powinnam. Los mnie pokarał, bo sama wpadłam we własną sieć! W tym udawaniu twojej narzeczonej posunęłam się wczoraj o wiele za daleko, Jack, doskonale zdaję sobie z tego sprawę. I bardzo mi przykro.

Hannah umilkła. Jack Marshall pomyślał trochę, powzdychał, pokręcił głową. Aż w końcu powiedział:

- Wiesz co, kobieto? A mnie tam wcale nie było przykro, kiedy tak dobrze udawałaś moją narzeczoną. Powiem ci więcej: było mi całkiem przyjemnie, niesamowicie przyjemnie! I nawet się cieszę, że mnie podstępem uwiodłaś.

- Ja ciebie? - oburzyła się Hannah. - Człowieku, jak ty mi możesz wmawiać takie rzeczy? Nie udawaj, że nie pamiętasz, jak sam się zachowywałeś! Przecież od razu w piątek wieczorem próbowałeś namówić mnie na seks! Wykręcałam się, jak mogłam, że niby lekarz ci zabronił i tak dalej. Aż w końcu, no wiesz, zaskoczyłeś mnie tak jakoś tam w górach. No i potem wszystko już się potoczyło jak lawina! Z tobą, Jack... to się okazało takie niezwykle, takie niesamowite, że ja po prostu straciłam głowę, przestałam panować nad sobą. I do tej pory nie panuję! Ja już po prostu sama nie wiem, co się ze mną dzieje, Jack, nigdy w życiu nie byłam w takim stanie, nigdy w życiu czegoś takiego nie odczuwałam. Ja po prostu oszalałam na twoim punkcie, Jack, na punkcie seksu z tobą! Musiałeś mnie jakoś opętać. I już teraz zupełnie nie wiem, co mam robić!

Roztrzęsiona Hannah umilkła, gdyż nagle rozległo się głośne stukanie do drzwi wejściowych. Jack uśmiechnął się jak gdyby nigdy nic i rzekł ze stoickim spokojem:

- Tymczasem nie rób nic więcej, kobieto, tylko idź i otwórz te drzwi. Wygląda na to, że mamy jakichś niespodziewanych gości.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Hannah zerwała się z krzesła. W drzwiach kuchni zatrzymała się jednak.

- Kto to może być, Jack? - spytała zaniepokojona.

- Nie mam pojęcia, ale najlepiej sprawdzić. Stukanie powtórzyło się.

- Hannah, otwórz! - wykrzyknął ktoś za drzwiami. - Dobrze wiemy, że tam jesteś, przecież przed domem stoi twój samochód!

Hannah jęknęła zdruzgotana:

- O Boże, to Dwight!

- Jest z kimś jeszcze, skoro mówi "wiemy" - zauważył Jack. - Czyżby z chłopcami?

- Nie, Chris i Stuart są w ten weekend na szkolnej wycieczce. Pewnie przyjechał z Delvene.

- Z tą swoją cizią?

- Z cizią, a jakże, nawet dobrze to ująłeś - dość cierpko przytaknęła Hannah.

- To świetnie! - zupełnie nieoczekiwanie ucieszył się Jack. - W takim razie będę miał z obojgiem do pogadania.

Nie mówiąc nic więcej, Jack wstał z krzesła i wyminawszy Hannah, ruszył przez hol w stronę drzwi wejściowych. Hannah pobiegła za nim i w ostatniej chwili, gdy już zamierzał odblokować zasuwę, chwyciła go za rękę.

- Jack, zaczekaj! - krzyknęła. - Pozwól mi chociaż najpierw sprawdzić, czy to rzeczywiście Delvene!

Wyjrzała przez wizjer i... załamała się.

- O Boże, Jack! - Hannah, mimo zdenerwowania, zniżyła głos niemal do szeptu. - To nie Delvene jest tam z Dwightem. To Felicia! Zanim odebrała ten faks, widocznie zdążyła dowiedzieć się o twoim wypadku, pewnie w firmie. Nabrała podejrzeń, pojechała do szpitala, tam jej powiedzieli, że zabrała cię narzeczona, to znaczy ja. Musiała się domyślić, kto wszedł w jej rolę, zaczęła mnie szukać, jakoś dotarła do Dwighta. No i teraz są tu, obydwój!

- Przepuść mnie, Hannah, niech zobaczę, jak właściwie ta cała Felicia Fay wygląda - mruknął Jack. - Chciałbym wiedzieć, z kim się zaręczyłem, to chyba normalne, prawda?

Hannah odsunęła się bez słowa. Jack z zaciekawieniem pochylił się nad umieszczonym o wiele za nisko, jak na jego wzrost, wizjerem.

W tym samym czasie Dwight Althorp znów zaczął kołatać w drzwi, wykrzykując:

- Hannah, ostrzegam cię! Jak nam zaraz nie otworzysz... w ciągu najbliższych dziesięciu sekund, to w końcu wyważę te przeklęte drzwi!

Jack wyprostował się, odblokował zamek i energicznym ruchem ręki otworzył drzwi na całą szerokość. Po czym, zrobiwszy pół kroku do przodu i wypełniwszy w ten sposób sobą niemal całą futrynę, spokojnym, choć zdecydowanym tonem pouczył Dwighta:

- Człowieku, nie powinieneś sobie pozwalać na takie pokrzykiwanie pod cudzymi drzwiami! To już przecież nie jest twój dom, a Hannah nie jest już twoją żoną, zapomniałeś? Nie masz tu żadnych praw, więc lepiej się czym prędzej opanuj, dobrze ci radzę!

Hannah jeszcze nigdy dotąd nie miała okazji zobaczyć u swojego eks-małżonka miny równie głupiej, jak ta, którą zrobił, ujrzawszy Jacka Marshalla i usłyszawszy jego stanowcze słowa. Otwarte usta, wybałuszone oczy.

Dwight Althorp wyglądał tak, jakby nie mógł się nadziwić, że znalazł się ktoś, kto ma śmiałość jemu, ucieleśnionej doskonałości, robić jakiegokolwiek uwagi. Stał więc naprzeciwko Jacka, przy którym prezentował się niczym ratlerek przy dobermanie, dziwił się i milczał. Ogromnie gadatliwa okazała się natomiast Felicia.

Wystrojona w czarne legginsy, czarne szpilki i krzykliwie pomarańczową wełnianą tunikę, z rozpuszczonymi swobodnie na ramiona blond lokami, wysunęła się zza pleców Dwighta i wskazując palcem na Hannah, zaczęła pokrzykiwać:

- Doktorze, popatrz no pan na tę swoją byłą żonkę! Jak to doskonale udaje narzeczoną mojego narzeczonego! Przecież widać po niej czarno na białym, że od piątku wcale nie wychodziła z łóżka. Mogłabym się założyć, że nie ma nawet majtek pod tym szlafrocikiem!

Hannah zarumieniła się, chcąc nie chcąc, potwierdzając w ten sposób fakt, że Felicia wygrałaby swój zakład.

Dwight spojrział na nią jeszcze bardziej zdziwionymi oczyma, nie wypowiedział jednak ani słowa.

Felicia, zwracając się z kolei do Jacka, zmieniła dotychczasowy jadowity ton na słodkiutki i kuszący:

- Jack, kochanie, nie pamiętasz mnie? Najdroższy, to ja, Felicia,

twoja prawdziwa narzeczona. Poznaliśmy się u Geralda Boyntona. Geralda też nie pamiętasz?

Ponieważ Jack milczał jak zakłęty, Felicia Fay znów skierowała swoje słowa do Dwighta:

- A widzi pan, doktorze? On mnie ani trochę nie pamięta! W takim razie, jak mógłby wysłać do mnie ten paskudny faks? On nie mógł go wysłać i tyle! To ona go wysłała, ta zołza! Pewnie od dawna miała chrapkę na mojego Jacka. A teraz korzysta z okazji i bezczelnie próbuje go omotać. Przecież ona chce mnie wykołegować, doktorze! Mnie wykołegować? Ona? Ta podstarzała ciotka--klotka?

Wciąż oszołomiony, osłupiały Dwight Althorp nie podejmował wymiany zdań. Felicia zdławiła więc jakoś rozsadzającą ją wściekłość i łagodnym, starannie modulowanym głosem zaczęła tłumaczyć Jackowi:

- Kochanie, miałeś mały wypadek i straciłeś częściowo pamięć, wiesz? I to podłe babsko nałgało w szpitalu, tobie i lekarzom, że jest twoją narzeczoną. A nie jest! Za to ja jestem, kochanie! Ona cię oszukała, bo ma na ciebie chętkę, już od dawna. A mnie nienawidzi i dlatego chce się mnie pozbyć. I robi ci wodę z mózgu, Jack!

- To ty mi robisz wodę z mózgu, Felicio, już od dawna, od samego początku naszej znajomości - odezwał się nieoczekiwanie Jack.

Felicię zamurowało. Wybałuszyła oczy i otworzyła usta zupełnie tak samo, jak przedtem Dwight. W jednej chwili zrobiła się z emocji czerwona niczym piwonia. Westchnęła potem ciężko, z rezygnacją, nawyrażniej próbując w ten sposób zasygnalizować, że wobec niektórych tragicznych przypadłości chorego umysłu zdrowy człowiek bywa całkowicie bezradny i siłą się na ton pobłażliwej wyrozumiałości, zaczęła wyjaśniać Jackowi:

- Kochanie, ja wiem, że ty jesteś chory, bardzo chory! A ta kobieta - znowu wskazała palcem na Hannah - celowo jeszcze bardziej cię wpędza w chorobę, niestety, opowiada ci jakieś niestworzone rzeczy, mąci ci w tej obolałej głowie.

*Ty żmijo!* - miała ochotę wykrzyknąć Hannah, opanowała się jednak i zachowała pełne godności milczenie. Odezwał się za to ni stąd, ni zowąd Dwight Althorp:

- Boże, gdybym tego wszystkiego nie widział na własne oczy, to nigdy bym w to nie uwierzył!

- Niby w co, doktorcu? - warknął Jack tak zaczepnie, że przestraszony Dwight aż się przezornie cofnął o pół kroku. - Może w to, że ta cudowna kobieta, którą najpierw wzięłaś sobie za żonę, a potem przez całe lata starałaś się zniszczyć, znalazła w sobie dość odwagi, żeby po rozwodzie szukać pociechy w ramionach innego mężczyzny? Wmawiałaś jej ciągle, ty przemądrzały draniu, że nie jest ani trochę atrakcyjna. I już prawie jej to wmówiłaś. Ale popatrz! Wystarczyły dwie noce z facetem z krwi i kości, ty bladej wymoczku, żeby odkręcić to wszystko, co namotałaś przez piętnaście lat!

Dwight milczał, ciężko chwyając powietrze. Felicia trwała w pozie urażonej niewinności. Hannah z niemym podziwem spoglądała na Jacka, który mówił dalej:

- Tak, Hannah i ja kochaliśmy się przez cały ten weekend! To było takie fantastyczne, że po prostu nie mieliśmy ochoty przestać. Dopiero wyście nam przeszkodzili, pan, doktorcu, i ta obłudna kobieta.

- O co ci właściwie chodzi, Jack? - obruszyła się Felicia.

- Mniej więcej o to, że przyjeżdżasz tu i udajesz przede mną wzorową narzeczoną, Felicio! Udajesz, bo wiesz, że straciłem pamięć. I myślisz, że nie pamiętam, jak się rozstaliśmy w nocy z czwartku na piątek. A ja pamiętam, doskonale pamiętam! Podczas naszego zaręczynowego przyjęcia nakryłem cię w łazience in flagranti z Boyntonem. I oznajmiłem, że w takim razie ze ślubu nici. Cisnęłaś mi wtedy pod nogi pierścionek, a ja go wrzuciłem do klozetu. I wiesz co, Felicio? Zrobiło ci się szkoda, bo to był drogi brylant, więc zaczęłaś go wyciągać. Tak cię wtedy zostawiłem w tej łazience, z ręką w klozecie. I tak cię właśnie zapamiętałem, Felicio!

Felicia pobladła i zaniemówiła.

Hannah zaczęła gorączkowo rozmyślać: Czyżby Jack nagle odzyskał pamięć? Właśnie w tej chwili, akurat teraz? Żeby odeprzeć zakusy Felicii, żeby nie dać się nabrać na podłe sztuczki tej kobiety? To przecież cud, prawdziwy cud, jakieś zupełnie niesamowite zrządzenie losu!

- Tto ty już oddzyskałaś pamięć, Jack? - wyjąkała skonsternowana Felicia po dłuższej chwili milczenia.

- Owszem - potwierdził Jack. - Odzyskałem pamięć, jak tylko Hannah zjawiła się u mnie w szpitalu.

- Jak to? - spytała Felicia, uprzedzając zaskoczoną Hannah, która

miała ochotę zadać to samo pytanie.

- A tak to! - zaczął ze stoickim spokojem i nieprzeniknioną miną rutynowanego pokerzysty wyjaśniać Jack. - Nie chciałem tam dłużej leżeć, bo szpitali nie cierpię, a wiedziałem, że pod opieką kogoś bliskiego doktorzy mnie wypuszczą. Więc poprosiłem Hannah, żeby udała moją narzeczoną. I poprosiłem ją, żeby mnie tu przywiozła, niby na wypoczynek. Wiedziałem, że ma ten weekendowy domek w Górach Błękitnych, spodziewałem się, że będziemy tu sami. Hannah zawsze mi się niesamowicie podobała, więc postanowiłem skorzystać z okazji, żeby ją poderwać. No i udało mi się, mam to, czego od dawna chciałem. To, czego pragnąłem, jeszcze zanim cię poznałem, Felicio! W sumie to nawet dobrze, że zagrałaś ze mną tak nieczysto, jak zagrałaś, bo przynajmniej nie wpakowałem się w przegraną z góry sprawę. Z naszego małżeństwa nic dobrego by przecież nie wyszło, Felicio, skoro ty tak naprawdę zawsze wolałaś Boyntona, a ja - Hannah! W sumie to nawet dobrze się stało.

- Jack, kochanie, nie mów tak, proszę! - Felicia Fay nagle zmieniła front. - Ta moja historia z Geraldem to już przeszłość, zdenerwowałeś się niepotrzebnie wtedy na przyjęciu, nic złego nie robiliśmy w tej łazience, ja mu po prostu chciałam na osobności powiedzieć, że skoro wychodzę za mąż, to wszystko między nami skończone, więc niech sobie nie robi przypadkiem jakichś nadziei.

- I na tarasie też mu to tłumaczyłaś, tak, Felicio? - spytał szyderczym tonem Jack Marshall.

- Na jakim tarasie? Nie rozumiem.

- Nie udawaj, Felicio, nie wyprzesz się. Mam na to świadka, przypadkowego świadka - podkreślił Jack. - Ktoś was przypadkiem widział i słyszał, Felicio.

- Ktoś? - wybuchnęła blond piękność. - Powiedz lepiej od razu, że ona! - Wskazała na Hannah palcem, zakończonym długim paznokciem, spiłowanym na kształt ostrza i pomalowanym na jaskrawopomarańczowy kolor. - Ta kobieta chce zrobić ze mnie jakąś dziwkę czy co? Dlatego pewnie mnie szpieguje.

- Mówiłem chyba o przypadkowym świadku, Felicio, prawda? - zirytował się Jack. - A dziwki nie trzeba z ciebie robić, bo już nią jesteś! - dodał. - A Gerald Boynton jest twoim alfonsem! Możesz mu to ode mnie powiedzieć, jak się znowu spotkacie w jakiejś łazience. I powiedz mu jeszcze, z łaski swojej, że nie mam najmniejszej chęci wchodzić z nim w żadne interesy, więc niech się lepiej trzyma jak najdalej od

"Marshall Homes". Ty też bądź tak dobra i już nigdy więcej mi się na oczy nie pokazuj, Felicio. A ten brylant ode mnie możesz sobie zatrzymać, jeśli przypadkiem udało ci się wyłowić go z klozetu!

Felicia Fay przez moment wyglądała tak, jakby miała zamiar zemdleć. Przymknięte oczy, twarz biała jak kreda. Po chwili jednak gwałtowna fala wściekłości przywróciła ogień jej spojrzeniu, a kolory policzkom. Zwracając się bezpośrednio do Hannah, Felicia wrzasnęła ochryple:

- Wygrałaś, suko! Ciesz się teraz, proszę bardzo! Tylko uważaj, żebyś jeszcze kiedyś nie musiała żałować. Jack ma forszę, to prawda, i nieźle sobie radzi w łóżku. Ale ty mi bardziej pasujesz na mamuszkę niż na kochankę, a on przecież nie chce mieć z pieluchami nic wspólnego. Nie dogadacie się na dłuższą metę, moja droga, możesz być tego pewna! Wspomnisz jeszcze moje słowa. Dzisiaj wygrałaś, ale już jutro możesz przegrać!

Zakończywszy hałaśliwą przemowę, Felicia Fay zakręciła się na pięcie i nie zerkając ani razu za siebie, pomaszerowała szybkim krokiem w stronę zaparkowanego u wylotu dojazdowej leśnej drogi samochodu Dwighta Althorpa. Zajęła miejsce na przeznaczonym dla pasażera przednim siedzeniu nowiutkiego błękitnego BMW i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Jack sarkastycznym tonem spytał Dwighta:

- Nie idzie pan za swoją protegowaną, doktorze Althorp? Skoro już ją pan tu przywiózł - dodał - to nie ma rady, musi ją pan teraz odwieźć z powrotem.

Dwight zerknął na Jacka spod oka. Następnie przeniósł wzrok na Hannah, która po wysłuchaniu inwektyw Felicii stała w bezruchu i zamyśleniu w otwartych drzwiach domu, drząc lekko, po trosze z irytacji, a po trosze po prostu z zimna. Jego ponure dotąd i nieprzyjazne spojrzenie wyraźnie złagodniało, kiedy odezwał się do byłej żony w takie oto pojednawcze słowa:

- Wiem, Hannah, że możesz nie uwierzyć w szczerłość tego, co ci teraz powiem, ale i tak ci to powiem: przepraszam! Jest mi naprawdę przykro, Hannah. Ja właściwie... Ja właściwie nie wiedziałem, że ty cierpiałaś w tym naszym małżeństwie. Nigdy mi się przecież na nic nie skarżyłaś. Nie miałem pojęcia. Ja chyba w ogóle mam niewielkie pojęcie o uczuciach, a zwłaszcza o uczuciach innych ludzi. Zawsze, już od dziecka, byłem nadmiernie skoncentrowany na sobie. Tato często powtarzał, że to wina mamy, że mnie niepotrzebnie zepsuła, rozpieściła,



nabiła mi głowę opowieściami o tym, jaki jestem wspaniały, jak wiele mam prawo żądać od życia, jakiej wspaniałej przyszłości powinienem się spodziewać.

Hannah w milczeniu pokiwała głową.

*Wiem coś o tym, Dwight*, pomyślała. Przecież twoja matka powiedziała mi swego czasu wprost, że nie jestem wystarczająco atrakcyjną partią dla jej jedyne go syna. Ciekawe, co powie tej małej Delvene? A może już jej powiedziała coś w podobnym stylu? Biedaku, czy ty w ogóle masz szansę kiedykolwiek dogodzić mamusi, jeśli chodzi o dobór partnerki?

Dwight mówił dalej:

- Widzisz, Hannah, ja przecież zawsze myślałem, że ci pomagam, robiąc różne uwagi. Że się dzięki temu doskonalisz, rozwijasz. A ty cierpiałas. Nie wiedziałem o tym, nie zdawałem sobie z tego sprawy! Mówię szczerze, zechciej uwierzyć w moje słowa. I zechciej mi wybaczyć, Hannah. Spróbuj zapomnieć o tym wszystkim, co w naszym małżeństwie było złe, zachowaj przede wszystkim te lepsze wspomnienia. Skoro nie możemy już być mężem i żoną, to pozostanmy chociaż przyjaciółmi, zgoda? Dla dobra naszych dzieci, dla dobra naszych chłopców. Ja też ich bardzo kocham, Hannah, naprawdę! Zostanmy przyjaciółmi, rozstańmy się w zgodzie! Co ty na to?

Hannah uparcie milczała. Słowa byłego męża, całe jego zachowanie, wydawało się jej tak dla niego nietypowe, że aż szokujące.

Myślała: Jaka ogromna przemiana musiała się niespodziewanie dokonać w egoistycznej duszy Dwighta Althorpa, skoro zdobył się na to, by mnie przeprosić? Jakie niesamowite wrażenie musiał wyrzucić na nim fakt, że inny mężczyzna, i to nie byle jaki mężczyzna, jest mną poważnie zainteresowany? Zaraz, zaraz... - zaczęła nagle rozważać. - Poważnie? Ale właściwie jak poważnie? Na tyle, by mnie pożądać i nawet podziwiać, to i owszem. Ale czy na tyle poważnie, żeby się we mnie zakochać? Do licha, na to pytanie nie potrafię sobie odpowiedzieć!

- Hannah, powiedz coś wreszcie! - proszącym tonem odezwał się Dwight.

- Jak człowiek już się zdobył na przeprosiny, to znaczy, że nie jest taki do końca zły, Hannah - nieoczekiwanie przyszedł Dwightowi w sukurs Jack Marshall. - Podaj mu rękę na do widzenia, co ci szkodzi!

Hannah w milczeniu wyciągnęła dłoń w kierunku byłego męża. Dwight ujął ją i ucałował.

- No, teraz to już chyba może pan sobie spokojnie odjechać, doktorze - mruknął Jack. - Coś mi się zdaje, że tej kobiecie już na dzisiaj wystarczy mocnych wrażeń. A tamtej w samochodzie pewnie się spieszy do Sydney, do tego jej gogusia Geralda.

Dwight Althorp z powagą i zrozumieniem sytuacji pokiwał głową. Wyciągnął rękę do Jacka. Wymienili pożegnalny uścisk dłoni.

- Panie Marshall, niech pan... Niech pan dba o Hannah. Lepiej ode mnie! - powiedział Dwight.

- Nie ma obawy, doktorze Althorp, zadbam o nią tak, jak na to zasługuje - odparł Jack.

- To wspaniała kobieta.

- Najwspanialsza!

- Szkoda, że uświadomiłem to sobie dopiero wtedy, kiedy ją utraciłem!

- Wybacz pan, doktorze Althorp, ale ja jednak tego nie żałuję.

- Jasne! No cóż, co się stało, to się nie odstanie. Zresztą... Ech, co tu dużo gadać, nie najlepszy mam charakter i już pewnie się nie zmienię, więc nawet gdybyśmy się z Hannah nie rozeszli, to...

- Nie ma co gdybać, doktorze! - przerwał Dwightowi Jack. - Ale zmienić się, chociaż trochę, można zawsze, jeśli warto. Nigdy nie jest na coś takiego za późno, człowiek się uczy przez całe swoje życie, także na własnych błędach. I przez całe życie się zmienia!

- No, może - mruknął Dwight Althorp, najwyraźniej zniecierpliwiony sytuacją, w której zamiast wygłaszać wykład, sam musiał go wysłuchać. - Do widzenia, panie Marshall!

- Do widzenia, doktorze.

- Do widzenia, Hannah.

Hannah nie odpowiedziała. Jednak kiedy Dwight odwrócił się i dziwnie przygarbiony, zupełnie jakby przygnieciony jakimś ciężkim brzemieniem, powlókł się w stronę swego eleganckiego samochodu, zawołała za nim:

- Do widzenia!

Zatrzymał się i spojrzał przez ramię w jej stronę.

- Spróbujesz mi wybaczyć, Hannah? - zapytał.

Nie była w stanie mu odpowiedzieć, ponieważ nagle poczuła, że dławią ją łzy. Skinęła więc tylko lekko głową i nie czekając, aż Dwight wsiądzie do samochodu i odjedzie, skryła się w głębi domu.

Jack odnalazł Hannah po chwili w kuchni. Stała z głową opartą o ścianę i szlochała jak małe dziecko. Wziął ją w kojące objęcia<sup>^</sup> pozwolił jej się wypłakać do woli na swoim mocnym, męskim ramieniu.

- Musiałaś go kiedyś naprawdę kochać - zauważył, gdy Hannah już się uspokoiła i ucichła.

- Tak. Chyba tak - wyszeptała. - Ale przecież... Ja byłam właściwie jeszcze dzieckiem, kiedy wychodziłam za niego za mąż - dodała.

Jack westchnął, odchrząknął i stwierdził:

- Ale teraz już jesteś dorosła, Hannah. Jesteś dorosłą kobietą. Dlatego... - zawahał się. - Dlatego obetrzyj oczy i powiedz serio, bez ogródek, czego ode mnie oczekujesz w sytuacji, która jest taka, jaka jest i inna już nie będzie? - dokończył.

- Co masz na myśli, Jack? - zapytała. Odpowiedział zdecydowanie:

- Mam na myśli nasze małżeństwo.

Hannah podniosła w górę wzrok, spoglądając Jackowi prosto w oczy.

- Ale przecież my się nie kochamy! - zauważyła trochę prowokująco.

Być może spodziewała się w głębi duszy, że Jack zaprotestuje, że po prostu wyzna jej w tym momencie miłość. On jednak powiedział tylko:

- Kochałaś już Dwighta Althorpa, Hannah. I dokąd cię to zaprowadziło? Sama najlepiej wiesz, że donikąd.

- Ależ, Jack - obruszyła się - przecież to nie miłość doprowadziła do rozpadu mojego małżeństwa z Dwigh-tem, tylko właśnie brak miłości, z jego strony! Dobre małżeństwo wymaga wzajemności w uczuciach.

- Hannah, czy chcesz w ten sposób powiedzieć, że twoja odpowiedź brzmi: nie?

- A czy mogłaby w naszej sytuacji brzmieć inaczej, Jack? Pomyśl, proszę! Przecież połączył nas tylko seks. I to właściwie... mhm...

zupełnie przypadkowy seks.

Jack znów głęboko westchnął.

- Hannah - odezwał się trochę oschle, starając się o beznamiętny ton prawdziwie "mocnego człowieka" i maskując w ten sposób swoje niewątpliwe rozczarowanie - mam nadzieję, że nie chcesz, żebyśmy tak po prostu wrócili do dawnych układów szefa i sekretarki. Coś się jednak wydarzyło w ten weekend, do czegoś... jednak doszło pomiędzy nami! Wydaje mi się nawet, że do czegoś ważnego.

- Przecież wiem - zgodziła się Hannah. - To, do czego pomiędzy nami doszło, ma dla mnie przynajmniej takie konsekwencje, że teraz... że teraz niesamowicie cię pragnę.

- Ja też cię pragnę, Hannah!

- Jack, ja...

- Ciii. Nie mów już nic więcej, dobrze? Lepiej... - umilkł w pół zdania i zaczął Hannah namiętnie całować.

Skwapliwie odwzajemniała jego pocałunki, kiedy jednak spróbował zsunąć jej z ramion szlafroczek i pójść w miłosnych pieszczotach nieco dalej, wyrwała mu się i wykrzyknęła:

- Jack, nie! Przecież ty chyba zapomniałeś, że obiecaliśmy odwiedzić Cooperów!

- Hannah, dlaczego szukasz wykrętów? Nie możesz powiedzieć mi -wprost, że nie chcesz się ze mną kochać? - zapytał tonem naznaczonym odrobiną pretensji.

- Przecież nie o to chodzi, że nie chcę - zaczęła mu tłumaczyć. - Chcę, tylko niekoniecznie w tej chwili. Nadmiar łatwo prowadzi do przesytu, Jack, nie musimy się aż tak śpieszyć, mamy czas, mamy dla siebie mnóstwo czasu. Dzisiejszą noc możemy spędzić u mnie, jeśli chcesz, w moim mieszkaniu w Sydney.

- A dlaczego nie tutaj?

- No, przecież jutro rano musimy już być w pracy, zapomniałeś? Ten weekend już się powoli kończy. Wiesz, chciałabym wyjechać stąd tak gdzieś około czwartej. Nie cierpię prowadzić po ciemku, a już zwłaszcza na tej górskiej trasie.

- Jest dopiero pierwsza - zauważył Jack, spoglądając na kuchenny zegar.

- Akurat najwyższy czas, żeby przed odjazdem wpaść do Cooperów i odwiedzić naszego oposa - stwierdziła Hannah. - Zaraz będę gotowa.

Kiedy mniej więcej po kwadransie szli oboje, trzymając się za ręce, leśną drogą w stronę domu Marion i Edwarda Cooperów, Hannah uświadomiła sobie nagle coś, co w natłoku wydarzeń tego niezwykłego niedzielnego przedpołudnia jakoś przejściowo umknęło jej uwagi.

- Jack - odezwała się - zapomniałam cię o coś zapytać. Właściwie to kiedy tak naprawdę odzyskałeś pamięć? Powiedziałeś Felicji, że od razu w piątek, ale ja przecież doskonale wiem. Ty przed nią blefowałeś, Jack, mam rację?

- Oczywiście.

- Więc tak naprawdę, to kiedy? Chyba cię zamorduję, jak mi powiesz, że już wczoraj, zanim... no, zanim spędziliśmy razem tę szaloną noc!

Jack uśmiechnął się dość tajemniczo i zaczął się trochę droczyć z Hannah.

- Więc koniecznie chcesz wiedzieć, jak jest naprawdę z tą moją pamięcią? - zapytał.

- Koniecznie! - odparła Hannah z całkowitą determinacją.

- Szczerze?

- Nie wygłupiaj się, Jack. Jasne, że szczerze!

- W takim razie posłuchaj uważnie, co ci powiem na temat mojej pamięci. Tak naprawdę, to nie odzyskałem jej ani w piątek, ani w sobotę, czyli wczoraj, ani nawet dzisiaj. Pamięć w ogóle mi jeszcze nie wróciła, Hannah! Ja dalej nie mam zielonego pojęcia, co się ze mną działo przez te ostatnie półtora miesiąca.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Hannah, zaszokowana nieprawdopodobnym wprost stwierdzeniem

Jacka Marshalla, zatrzymała się dosłownie w pół kroku.

- Nie wygłupiaj się, bardzo cię o to proszę! - powiedziała. -  
Przecież to po prostu niemożliwe, że nadal nie pamiętasz tych ostatnich sześciu tygodni.

- A jednak możliwe, kobieto. Ja po prostu nic nie pamiętam i tyle!

- Ale przecież opowiedziałeś Felicii ze szczegółami całą tę historię.

- Z zaręczynowym pierścieniem? - Jack wszedł Hannah w słowo.

- Właśnie!

- Widzisz, kochanie, mówiąc ściśle - zaczął wyjaśniać - sprawa z moją pamięcią przedstawia się mniej więcej w ten sposób. Kiedy spojrzałem na Felicię Fay przez wizjer, miałem taki jeden króciutki przebłysk pamięci, a właściwie to dwa króciutkie przebłyski, jeden po drugim. Dwa migawkowe obrazy. W tym pierwszym ona mi rzucała pod nogi zaręczynowy pierścienek, a w tym drugim... no wiesz, sięgała po coś tam ręką do klozetu. Tyle mi się ni stąd, ni zowąd przypomniało. Resztę musiałem sobie dośpiewać. No więc dośpiewałem, zaimprovizowałem. I jak wiesz, trafiłem dokładnie w dziesiątkę. Inaczej mówiąc, pomimo utraty pamięci przejrzałem Felicię na wylot!

- No, ja ci w tym chyba trochę pomogłam - zauważyła Hannah.

- I owszem, to ci muszę przyznać.

Po chwili spytała z powagą:

- Jack, czy ty naprawdę niczego więcej sobie nie przypominasz z tego całego burzliwego, sześciotygodniowego romansu z Felicią Fay, poza jego pożałowania godnym zakończeniem?

- Naprawdę, Hannah, mogę ci to przysiąc z ręką o tu, na sercu! - zapewnił Jack, wykonując stosowny gest. - Ale muszę też ci się przyznać - dodał z leciutkim uśmiechem - że ani trochę tego nie żałuję. Cały ten mój nieszczęsny romans z Felicią Fay... To musiała być od początku do końca fatalna pomyłka, nic więcej, tylko pomyłka, coś w rodzaju przejściowego zamroczenia. Dałem się nabrać na aktorskie sztuczki tej kobiety. Na jej pochlebstwa. No i na seks! Niestety, muszę ci się przyznać, że zawsze byłem na to łasy.

- Na pochlebstwa czy na seks?

Jack roześmiał się głośno i odpowiedział:

- Tak się nieszczęśliwie składa, że na jedno i drugie, moja piękna damo!

Pochwycił Hannah w objęcia. Skarciła go pół żartem, pół serio:

- Jack, przecież nie możesz tak ciągle.

Wszedł jej w słowo:

- Powtarzać ci, że jesteś piękna?

- Nie! Tak ciągle mnie obściskować.

- Dlaczegoż to?

- Nno, bo... - Hannah miała niejaki kłopot ze sformułowaniem odpowiedzi. - No, bo jak się tak za bardzo przyzwyczaisz, to potem nie będziesz już chciał przestać, nawet w Sydney, przy ludziach. Widzisz, Jack, a ja bym chyba wolała, żeby to zawsze było raczej... mhm... dyskretnie, na osobności.

- Na przykład, gdzie? - zapytał wyraźnie kpiarskim tonem.

- Ech, nie wygłupiaj się, Jack! O ile dobrze pamiętam, to idziemy właśnie w odwiedziny do Cooperów i do oposa, a jak będziemy tak się tu bez końca przekomarzać, to chyba nigdy nie dojdziemy.

- Przecież to ty się pierwsza zatrzymałaś, moja piękna damo, pragnę ci przypomnieć.

- Więc teraz pierwsza ruszę się z miejsca! - zakończyła dyskusję Hannah. - Idziesz ze mną?

- Też pytanie! Oczywiście, że idę! - odparł Jack. - Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo. Za bardzo cię pragnę! Będę za tobą wszędzie chodził, jak cień, zapamiętaj to sobie, jeśli łaska.

- Nie żyje? Jak to, nie żyje? Hannah, czy ja dobrze słyszę? Nasz mały opos nie żyje? - Jack najwyraźniej nie był w stanie po prostu przyjąć do wiadomości złej nowiny, zakomunikowanej im przez zafrasowaną Marion Cooper od razu na przywitanie. - Przecież wczoraj miewał się świetnie, sama mówiłaś, Marion, że jest w dobrej kondycji! Nie pamiętasz?

- Pamiętam, Jack, pamiętam doskonale - przyświadczyła Marion, kiwając w zamyśleniu głową. - Ale widzisz, kochaniutki, przyroda miewa swoje tajemnice, czasami niesamowite i okrutne. Człowiek nie wszystko jest w stanie przewidzieć! Osieroczone młode zwierzę, nawet

przy najlepszej, najtroskliwszej, najbardziej fachowej opiece, zaczyna nieraz tak strasznie tęsknić za matką, że... Że umiera, Jack! Nie potrafi przetrwać szoku, jakim jest dla niego ta nagła samotność. Kiedy w nocy nasz mały oposek przestał ssać, od razu wiedziałam, że mogą być z nim problemy, poważne problemy. Okazał się zbyt delikatny, zbyt młodziutki do odchowania bez matki, Jack. Nikt nie byłby w stanie mu pomóc, niestety.

Jack Marshall zmarszczył mocno brwi, przygryzł w napięciu wargi.

- Szkoda, że nie przyszedłeś po mnie, Marion - powiedział z nutą lekkiej pretensji w głosie. - Pamiętasz, jak chętnie ssał wczoraj butlę z mojej ręki? Może ja bym go jakoś nakarmił.

Marion Cooper pokręciła przecząco głową.

- Nie rób sobie niepotrzebnych złudzeń, kochaniutki - zaczęła przekonywać Jacka. - I nie miej do siebie żadnych pretensji. Ty zrobiłeś, co mogłeś, a natura zrobiła, co chciała. Widzisz, kiedy człowiek obcuje z przyrodą na co dzień, tak bezpośrednio, jak my z Edwardem tutaj, w tych górach, w tym lesie, wtedy uczy się... chyba po prostu pokory. Natura to potęga, człowiek jest przy niej całkiem mały, maleńki. Nawet taki okazały człowiek, jak ty, Jack, albo jak ja - zakończyła Marion, przywołując na twarz ciepły, dobrotliwy uśmiech.

Jack Marshall westchnął ciężko. Przez dłuższą chwilę milczał w głębokiej zadumie, w końcu jednak przyznał Marion rację:

- Chyba faktycznie coś jest w tym, co mówisz - odezwał się stłumionym głosem. - Takiemu osieroconemu nagle maluchowi po prostu nie chce się żyć! Już ja coś o tym wiem, Marion.

Marion Cooper, której w oczach zakręciły się łzy, nie powiedziała już nic więcej, tylko podeszła do Jacka i poklepała go po ramieniu.

Uśmiechnął się do niej i powiedział:

- Nie miej mi za złe, Marion, że ci trochę przed chwilą... no, marudziłem. Wy tu z Edwardem wykonujecie naprawdę wspaniałą robotę, pomagając tym wszystkim poszkodowanym zwierzętom. Podziwiam was, naprawdę! I ciebie, i twojego męża. O właśnie! A gdzie jest Edward? - zapytał Jack, zmieniając temat. - Czyżby wypuścił się w jakąś podróż przy niedzieli?

- Nie, skądże! Jest w ogródku za domem, wiesz, uprawia tam rozmaite zioła na te swoje nalewki. Zaraz go zawołam, a wy tymczasem



wejdźcie, rozgoście się! Posiedźcie trochę z nami, prawda?

- Niedługo już musimy wracać do Sydney, Marion - odezwała się Hannah - więc nie gniewaj się, że wejdziemy tylko na chwilę.

- Na małą kawkę?

- Chętnie.

- To cudownie! - klasnęła w ręce Marion. - Edward tak się ucieszy, niesamowicie przypadłeś mu do gustu, Jack! No, bo za towarzystwem Hannah to mój małżonek już od dawna przepada - dodała gwoli wyjaśnienia. - Rozgoście się w salonie, moi kochani, a ja już biegnę, nastawiam wodę na kawę i wołam Edwarda.

Kiedy zostali sami, Hannah z uwagą i troską spojrzała na Jacka. Robił na niej wrażenie człowieka tylko pozornie pogodzonego z tym, co mu się przydarzyło, tylko pozornie spokojnego, a w istocie rozbitego, wręcz roztrzęsionego wewnątrz.

- Jack, dobrze się czujesz? - zapytała.

Uśmiechnął się blado i odpowiedział:

- Tak, Hannah, dobrze. Ze mną wszystko w najlepszym porządku.

Hannah nie wypytywała o nic więcej, nie dała się jednak zwieść jego wymuszonemu uśmiechowi. Była pewna, że Jack mocno przeżył śmierć osieroczonego zwierzątka.

Przypuszczała też, że to przykre przeżycie obudziło w nim jakieś niewesołe wspomnienia, zapewne z dzieciństwa. Ze smutnego dzieciństwa spędzonego w sierocińcu.

Cóż, moje dzieciństwo też nie było zbyt wesołe, odkąd zabrakło mamy, pomyślała. W jakimś sensie jesteśmy z Jackiem do siebie podobni, sporo nas łączy. Oboje musieliśmy sami sobie radzić w życiu już od najmłodszych lat. Powinniśmy się dobrze rozumieć. O ile zdobędziemy się na wzajemną szczerść, oczywiście, o ile nie będziemy wobec siebie odgrywać jakichś' wymyślonych ról.

- Wiesz, Jack, chyba bym... zapaliła... tak na poprawę nastroju - bąknęła nieśmiało Hannah, przerywając pełne napięcia milczenie.

Jack aż poderwał się z krzesła, usłyszawszy te słowa.

- Nie wygłupiaj się! - wykrzyknął. - Przecież sama doskonale wiesz, że to nie ma najmniejszego sensu. W jednej chwili zaprzepaścisz

wszystkie swoje dotychczasowe starania, kobieto!

- W takim razie ty popraw mi nastrój - zaproponowała Hannah trochę przewrotnie.

Jack uśmiechnął się, tym razem już całkiem szczerze, bez udawania.

- Wszystko nastąpi w swoim czasie, kobieto - stwierdził. - Jak już będziemy u mnie, w Sydney.

- Nie! - zaprotestowała energicznie Hannah.

- Dlaczego nie? - zdziwił się. - Już mnie nie chcesz, czy co?

- Ależ chcę cię, Jack, chcę! Nie ma obawy - uspokoiła go Hannah.  
- Tylko wolałabym, żebyś to ty mnie odwiedził. Co ty na to?

- Bardzo chętnie!

- No, to w takim razie jesteśmy umówieni. Wracamy razem do Sydney, jedziemy do mnie i...

- Do licha, kobieto, ty mi nie rób za wcześnie apetytu, bo chyba nie wytrzymam! - powiedział Jack niby pół żartem, lecz bardziej serio, niż zamierzał.

- Musisz wytrzymać, nie ma na to rady - odparła rezolutnie Hannah, drocząc się z nim trochę. - Tymczasem w przemiłym towarzystwie Marion i Edwarda napijemy się wyśmienitej kawki.

- Kawka już gotowa, a mój Edward tylko się troszeczkę ogarnie po tej robocie w ogródku i zaraz się tu zjawi, żeby powitać najmiłszych gości! - oznajmiła swym tubalnym głosem Marion Cooper, wnosząc do saloniku tacę z dzbankiem aromatycznego napoju i czterema filiżankami.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Samochodowy zegar wskazywał godzinę ósmą dziesięć. Hannah zaczęła żałować, że nie pośpieszyli się bardziej w ten poniedziałkowy

poranek i nie wyruszyli w drogę do pracy trochę wcześniej. Mieliby wtedy szansę dotrzeć z dzielnicy Parramatta na parking przed biurowcem "Marshall Homes", zanim jeszcze zaczęłyby się tam pojawiać większość personelu firmy.

A tak, rozmyślała z niepokojem Hannah, będziemy tam mniej więcej o wpół do dziewiątej, czyli dokładnie wtedy, kiedy wszyscy. I w ten sposób wszyscy zobaczą, że przyjechałam z szefem, a nawet jeszcze gorzej, że go przywiozłam własnym wozem! Zaraz zaczną się plotki na temat: dlaczego go wiozę i skąd? Gdyby tak Jack mieszkał gdzieś w mieście, to jeszcze można by się tłumaczyć, że bezpośrednio po wypadku nie może prowadzić samochodu, więc musiałam go podrzucić do firmy. Ale on, jak na złość, ma apartament w biurowcu, więc od razu ludzie zaczną nas o coś podejrzewać.

- Hannah, czemu ty jesteś dzisiaj taka strasznie milcząca? - wyrwało ją nagle z zamyślenia pytanie postawione przez Jacka. - Czy coś nie tak?

- Nie, wszystko w porządku - odpowiedziała nie do końca szczerze. - Tylko ten ruch. Nie cierpię prowadzić wozu w godzinach szczytu, zwłaszcza w taką paskudną pogodę jak dzisiejsza!

- Fakt, nie jest najpiękniej. Od samego rana mżyło, a teraz rozpadało się już na dobre - zauważył Jack.

- No właśnie! W czasie deszczu strasznie się męczę za kierownicą, zawsze staram się podwójnie uważać, bo mam jakieś dziwne wrażenie, że na ulicach pojawia się nagle dwa razy więcej samochodów niż zwykle.

- Może po prostu w ładniejszą pogodę więcej osób korzysta z komunikacji miejskiej, a w deszcz ludziom nie chce się moknąć na przystankach?

- Może. To znaczy tak, na pewno! - machinalnie zgodziła się Hannah.

- A poza deszczem i wzmożonym ruchem na ulicach naprawdę nie masz już żadnych innych problemów? - nie dawał za wygraną Jack.

- Jestem chyba trochę... mhm... po prostu zmęczona po tej dzisiejszej nocy.

- No wiesz, kobieto, to już nie tylko z mojej winy! - zastrzegł się Jack, przywołując na twarz dość filuterny uśmiešek.

Hannah wzruszyła lekko ramionami i mruknęła raczej

beznamiętnie:

- Fakt, nie tylko. Przypomniała sobie noc z niedzieli na poniedziałek, którą spędzili z Jackiem w jej mieszkaniu na miłosnych igraszkach. Prawda, miała dość istotny udział w tym, że choć znaleźli się w łóżku prawie natychmiast po dość wczesnej kolacji, usnęli nie wcześniej niż grubo po północy.

- Szkoda, że ten weekend już się skończył, prawda, Hannah? - zagadnął Jack.

- Fakt, szkoda. Tam, w górach, wszystko wyglądało jakoś inaczej, wszystko wydawało się o wiele prostsze, a tutaj, w Sydney... - zawiesiła głos, nie kończąc rozpoczętego zdania.

- A tutaj, w Sydney, to niby co? - zaczął się dopytywać Jack. - Nie bardzo cię jakoś rozumiem, kobieto, przyznam się szczerze.

- Widzisz, Jack, ludzie w "Marshall Homes", tak samo pewnie jak i gdzie indziej, w innych firmach, są niesamowicie rozplotkowani. Jak nas dzisiaj zobaczą razem w samochodzie, to zaraz zaczną podejrzewać, że my dwoje... No, wiesz!

- Że coś nas łączy poza sprawami czysto służbowymi?

- Właśnie!

- A cóż komu do tego? Jesteśmy przecież oboje jak najbardziej dorośli. I oboje stanu wolnego: ja - kawaler, ty - rozwódka.

- Byłeś zaręczony, Jack, z kim innym przecież, nie ze mną! Wszyscy w firmie o tym wiedzieli. Tak szczerze mówiąc, to wołałabym, żebyś mi raczej nie okazywał przy ludziach...

- No wiesz, Hannah! - oburzył się Jack. - Ty przecież najwyraźniej się wstydzisz, że byłaś w ten weekend ze mną i że teraz też jesteś ze mną. Kobieto, powiem ci tak samo szczerze, jak ty mnie: wcale mi się to nie podoba! Za mało elegancki jestem dla ciebie, czy co? No pewnie, prostak ze mnie, w porównaniu z doktorkiem, to prawda, zwyczajny budowlaniec.

- Jack, przestań pleść!

- Proszę bardzo, zaraz przestanę. Zatrzymaj tylko na chwilę wóz.

- Po co?

- Bo chcę wysiąść.

- Nie wygłupiaj się, człowieku! Przecież przemokniesz do suchej nitki, zanim stąd dojdiesz na piechotę do "Marshall Homes".

- To już wyłącznie moje zmartwienie, Hannah. Może i przemoknę, ale nie będę plótł! No i nie zepsuję ci opinii wśród współpracowników. Nikt się nie dowie, że upadłaś tak nisko!

- Jack, przecież ty nic nie rozumiesz.

- No właśnie, nic nie rozumiem, bo nie kończyłem żadnych uniwersyteckich fakultetów, prawda?

Hannah zwolniła, zjechała na pobocze i zatrzymała samochód. Spojrzała z ukosa na siedzącego obok niej Jacka i wycodziła:

- Wiesz co? Może ten spacer w deszczu faktycznie dobrze ci zrobi. Na nerwy i przy okazji na pamięć.

- Moja pamięć jest już całkiem w porządku - mruknął nadąsany Jack.

- Od kiedy to?

- Od dzisiejszego deszczowego poranka. Obudziłem się i przypomniałem sobie nagle wszystko, co się ze mną działo w ciągu tych ostatnich sześciu tygodni. Wszyściutko, z najdrobniejszymi szczegółami.

Hannah spytała prowokacyjnie:

- I co? Może zrobiło ci się szkoda, że zamieniłeś taką gwiazdę, jak Felicia Fay, na zwyczajną sekretarkę?

Jack nie odpowiedział. Wsiadł bez słowa, trzasnął drzwiami samochodu i szybkim krokiem ruszył przed siebie chodnikiem.

Zirytowana Hannah nie próbowała go zatrzymać i nakłonić, by z powrotem zajął miejsce obok niej. Dodała gazu, zostawiła maszerującego na piechotę Jacka daleko w tyle. Ledwie jednak dojechała na parking „Marshall Ho-mes”, zaczęła żałować niepotrzebnej sprzeczki.

Chyba oboje jesteśmy trochę przewrażliwieni, pomyślała. Ja na punkcie mojej nieposzlakowanej opinii, a Jack na punkcie swojego niekompletnego wykształcenia! A poza tym... Cóż, coś w rodzaju zazdrości też chyba wchodzi tu w grę. Ja jestem w jakimś tam sensie zazdrosna o Felicię, on o Dwighta. Czyli - o przeszłość. To wszystko jest w gruncie rzeczy bezsensowne, ale w takiej nie do końca wyklarowanej sytuacji, jak nasza, wystarczy byle drobiazg, żeby od słowa do słowa doszło do kłótni i wzajemnej obrazy. Gdybyśmy byli małżeństwem,

wszystko wyglądałoby pewnie trochę lepiej, a tak... No, nie, co też ci się nagle roi, kobieto! - Hannah skarciła się w myślach. Przecież małżeństwo bez miłości nie ma sensu, przecież seksem, nawet najbardziej fantastycznym, nie da się zastąpić uczucia!

Wciąż gorączkowo rozmyślając, Hannah zaparkowała samochód, przeszła przez parking do budynku firmy, dotarła do swojego pokoju, zajęła miejsce za biurkiem.

W chwilę później przemoknięty i demonstracyjnie milczący Jack Marshall przemaszerował zamaszystymi krokami przez sekretariat i zniknął w czeluściach swego przestronnego gabinetu.

Kiedy, mniej więcej po dziesięciu minutach, ogarnawszy się co nieco, Jack stanął znowu przed Hannah, poinformował ją tylko beznamiętnym tonem, że na cały dzień wyjeżdża w teren, wizytować budowy. Po czym opuścił biuro. A Hannah, ledwie on zamknął za sobą drzwi, rozplakała się z żalu i ze złości.

Nim zdołała się jako tako uspokoić, głowa zaczęła jej dosłownie pękać z bólu. Migrena? Po niedługim czasie doszedł do kompletu silny ból gardła. I najprawdopodobniej gorączka, połączona z napadami dreszczy, gdyż Hannah poczuła, że robi się jej na przemian gorąco i zimno.

Rozżalona i zirytowana jednocześnie, pomyślała: Do licha, to mi wygląda na jakąś paskudną grypę! Sporo osób z "Marshall Homes" ostatnio na nią chorowało i teraz widocznie na mnie przyszła kolej. Jakby mi było za mało innych kłopotów, to jeszcze na domiar złego akurat teraz musiałam złapać wirusa!

Zażyła aspirynę i próbowała dla odwrócenia uwagi zająć się pracą, szło jej jednak, prawdę powiedziawszy, nie najlepiej. Nie była w stanie się skupić, wszystko leciało jej z rąk. W końcu dała za wygraną i ograniczyła się wyłącznie do odbierania telefonów.

Gdy Chris i Stuart, jak zwykle w poniedziałek, zadzwonili do niej ze szkoły w porze lunchu, Hannah musiała bardzo starać się o to, żeby rozmawiać z nimi pogodnie, nie ujawniając fatalnego pod każdym względem samopoczucia. Z pewną ulgą przyjęła wiadomość, że chłopcy ani tego, ani poprzedniego dnia nie rozmawiali przez telefon z ojcem, nie mieli zatem okazji dowiedzieć się czegokolwiek o szalonym, romantycznym weekendzie, spędzonym przez nią w górach w towarzystwie Jacka Marshalla.

Hannah postanowiła zadzwonić do Dwighta i otwarcie go

poprosić, żeby nie wspominał chłopcom o Jacku. Nie była pewna ich reakcji na wiadomość o zaangażowaniu się matki w jakieś bliższe kontakty z obcym mężczyzną.

Romans ojca i rozwód rodziców musiał być dla nich wystarczająco trudnym i przykrym przeżyciem, pomyślała. Po co ich tak od razu dodatkowo obciążać kolejnymi problemami ludzi dorosłych?

Kiedy Hannah oświadczyła Dwightowi przez telefon, że historia z Jackiem Marshalllem to nic trwałego i poważnego, więc nie warto nikomu o niej wspominać, a już zwłaszcza dzieciom, jej eks-mąż niesamowicie się zdziwił:

- Nic poważnego, powiadasz? Ależ Hannah, nie nabieraj mnie, bardzo cię proszę! Już na podstawie tego, co usłyszałem od Felicii Fay, mógłbym się domyślić, że kochasz się w swoim szefie od dawna i to na zabój! No, a po tym, co sam wczoraj zobaczyłem i usłyszałem? Hannah, ja jestem po prostu pewien, że ten twój romans z Jackiem Marshalllem to bardzo poważna sprawa! Więc mi nie wmawiaj, że to coś przelotnego.

Hannah odłożyła słuchawkę. Mentorskie jak zwykle słowa Dwighta zirytowały ją, ale, no cóż, dały jej też troszeczkę do myślenia.

Zaraz, zaraz, zaczęła się gorączkowo zastanawiać. A jeśli Dwight jednak ma rację? Dwight i ta cała Felicia? Nieraz przecież tak bywa, że człowiek sam z trudem uświadamia sobie coś, co wszyscy inni doskonale o nim wiedzą.

Ja zawsze myślałam... tak mi się wydawało... że Jacka po prostu lubię, cenię, szanuję. Że jestem mu wdzięczna! A tymczasem, może jednak? Skoro na przykład zdecydowałam się za wszelką cenę, bez względu na konsekwencje, chronić go przed Felicią... Do licha, takich rzeczy chyba nie robi się dla szefa, nawet najbardziej sympatycznego! Ale dla ukochanego mężczyzny? Dla kogoś, kogo się kocha, to chyba można! Można zwariować, można zaryzykować, i to wiele, nawet znacznie więcej, niż ja zaryzykowałam. O Boże! Ja go Kocham! Kocham Jacka Marshalla! Kocham? Zaraz, zaraz, czy to znaczy, że niepotrzebnie odrzuciłam jego propozycję małżeństwa? Nie, to nie tak! Przecież w małżeństwie, w dobrym małżeństwie, niezbędne jest uczuciowe zaangażowanie obydwu stron. A przecież Jack... O Boże, jak to wszystko pojąć, jak rozstrzygnąć wszystkie wątpliwości z tak potwornie obolałą głową, jak moja w tej chwili?

Hannah przymknęła oczy, podparła głowę rękoma. Półprzytomna przesiedziała tak za biurkiem dłuższy czas, szczęśliwie nie niepokojona przez nikogo.

Nadeszła w końcu godzina czwarta trzydzieści, dla większości personelu "Marshall Homes" pora zakończenia pracy. Ponieważ jednak Hannah często zostawała w firmie po godzinach, nikt nie zainteresował się tym, że nie zamyka sekretariatu, nie gasi światła, nie oddaje kluczy na portiernię, nie odjeżdża z parkingu. Ona tymczasem poczuła się po prostu fatalnie i nie była w stanie zrobić nic więcej, jak tylko przejść do przyległego gabinetu Jacka Marshalla i osunąć się tam bezwładnie na sofę.

Nie miała pojęcia, ile czasu tak półprzytomnie przeleżała, nim zjawił się Jack. Wciąż naburmuszony, mruknął na jej widok dość opryskliwie:

- Jeśli to ma być zaproszenie, Hannah, to w tej chwili, niestety, nie skorzystam! Znadto jestem wypompowany po całym dniu bieganiny z budowy na budowę.

Hannah nie miała dość siły, by podjąć próbę tłumaczenia mu czegokolwiek. Postanowiła po prostu podnieść się z sofy i wyjść. A potem skorzystać w sekretariacie z telefonu, zamówić sobie taksówkę i pojechać albo do domu, albo prosto do jakiegoś lekarza. Niestety, nie zdołała zrealizować swego planu. Gdy tylko stanęła na nogach, natychmiast poczuła, że robi jej się słabo, że traci równowagę i leci gdzieś w dół, jakby w jakąś bezdenną przepaść.

Runęłaby zapewne jak długa na podłogę, gdyby nie Jack, który, spostrzegłszy na szczęście, co się z nią dzieje, rzucił się ku niej i w ostatniej chwili ją podtrzymał.

- Hannah, co ci jest?! - wykrzyknął przerażony. - Jesteś chora?

Ułożył ją troskliwie na sofie, dotknął delikatnie dłonią jej czoła.

- Mój Boże, ale ty jesteś niesamowicie rozpalona, kobieto! - stwierdził z przejęciem. - Musisz mieć wysoką gorączkę. Może to grypa?

- Pewnie tak - szepnęła Hannah, zdążywszy już nieco oprzytomnieć. - Paskudnie się dziś czułam przez cały dzień.

- A jeszcze ja... Ależ drań ze mnie! Jak mogłem ci na dodatek narobić tyle przykrości? Hannah, ja cię strasznie przepraszam!

Spojrzała na niego bez słowa. W oczach błysnęły jej łzy.

- O Boże, Hannah, nie płacz, nie pograżaj mnie do reszty! - zaczął siekając Jack. - Wiesz co? Przeniosę cię do siebie na górę i natychmiast wezwę lekarza.



Nim Hannah zdołała cokolwiek powiedzieć, Jack, bez najmniejszego wysiłku, zupełnie tak, jakby była lekka niczym piórko, wziął ją na ręce i ruszył dość szybkim krokiem w stronę swojego prywatnego apartamentu, który znajdował się w biurowcu "Marshall Homes".

- Jack, ja naprawdę nie chciałabym ci robić kłopotu - szepnęła Hannah.

- Nie przejmuj się niczym, kobieto! Żadne moje kłopoty się nie liczą. Ważne, żebyś ty się lepiej poczuła. W takim stanie jak teraz, nie powinnaś być sama w domu. Ktoś musi się o ciebie zatroszczyć, ktoś musi mieć cię stale na oku.

- Ale przecież ty nie masz czasu bawić się w pielęgniarkę, Jack, jesteś stale taki zajęty.

- Wiesz co, Hannah? Zrozumiałem ostatnio, że poza pracą jest jeszcze w życiu człowieka parę innych ważnych spraw! Więc nie marudź, tylko pozwól mi się tobą zaopiekować. Zapewniam cię, że to żaden kłopot, cała przyjemność po mojej stronie - zakończył Jack z kurtuazją.

Hannah uśmiechnęła się leciutko. Jack przeniósł ją przez białobłękitny salon swego apartamentu do usytuowanej w głębi sypialni i tam delikatnie ulokował na fotelu. Ponownie dotknął jej czoła.

- Hannah, ty ciągle jesteś strasznie rozpalona - stwierdził. - Na gorączkę nie ma nic lepszego jak letni prysznic. Dasz sobie radę sama w łazience?

Kiwnęła głową.

- No, to cię zaraz tam zaprowadzę. I przygotuję ci jakąś moją flanelową koszulę jako koszulkę nocną. Wybacz, że nic odpowiedniejszego nie mam pod ręką. No i zadzwonię po lekarza!

Po wzięciu letniego prysznica Hannah poczuła się na tyle lepiej, że gdy tylko znalazła się w łóżku, natychmiast usnęła. Obudził ją dopiero lekarz, który zjawił się mniej więcej po godzinie. Był to znajomy Jacka, a równocześnie klient "Marshall Homes", wdzięczny firmie za wybudowanie domu nie tylko bez najdrobniejszych usterek, ale i w rekordowo krótkim czasie.

- Co jej jest? - niecierpliwie spytał Jack, gdy doktor zbadał już Hannah. - Czy to grypa?

- Paskudna grypa, ale tylko grypa, mam nadzieję - odparł lekarz.

- Pan powinien mieć pewność, a nie nadzieję, doktorze! - burknął dość opryskliwie Jack. - U mojej matki stwierdzono kiedyś zwykłą grypę, a w dwa dni później pożegnała się z tym światem! Zmarła na zapalenie opon mózgowych.

- Zapalenie opon mózgowych z całą pewnością chorej nie grozi - wyjaśnił dobitnie, lecz spokojnie lekarz. - Co najwyżej... - zaczął się głośno zastanawiać - zbliżone objawy mogą niekiedy mieć również podłoże alergiczne.

- Panie doktorze, ja nigdy w życiu nie byłam alergiczką! - zaprotestowała nieśmiało Hannah.

- To jeszcze o niczym nie świadczy, każda dolegliwość kiedyś występuje po raz pierwszy - wyjaśnił lekarz. - Ale to mi jednak bardziej wygląda na grypę. Trzeba będzie łyknąć trochę witamin, trochę aspirynki. I trochę sobie po-leżeć! Co najmniej przez dwa dni, przyjmując dużo płynów. A do pracy nie wybierać się wcześniej niż w przyszłym tygodniu. Papieroski palimy?

- Na szczęście już nie - mruknął Jack.

- Niedawno rzuciłam palenie - wyjaśniła Hannah.

- I nie warto wracać do tego karygodnego nałogu, a już absolutnie nie w trakcie infekcji! - dobitnie stwierdził lekarz. - No, pod taką doskonałą opieką - dodał, zerkając z ukosa na Jacka Marshalla - to w przyszłym tygodniu powinna pani być już zdrowa jak rybka!

- Jakby coś było nie tak, doktorze - odciął się Jack - to doskonale znam pański adres.

- Wiem. I nawet dokładny rozkład wszystkich pomieszczeń w moim domu, więc nie będę mógł się nigdzie schować.

- Otóż to!

- Ale na pewno nie będę miał takiej potrzeby, zapewniam! Do widzenia państwu.

- Do widzenia, doktorze - odpowiedział Jack. - Trzymam pana za słowo.

Odprowadził lekarza do wyjścia. Gdy wrócił, Hannah upomniała go:

- Nie potraktowałeś zbyt sympatycznie tego Bogu ducha winnego człowieka, Jack.

- Przecież ja tylko żartowałem - mruknął.

- Mhm. Masz chyba dość specyficzne poczucie humoru - zauważyła z lekkim przekąsem Hannah.

- Chyba tak, zwłaszcza jeśli chodzi o medycynę i lekarzy - odparł ponuro.

Hannah nic już na to nie powiedziała. Prawdę mówiąc, nie była w stanie prowadzić dłuższej słownej szermierki. Czuła, że głowa pęka jej z bólu, a temperatura znów rośnie.

Jack spojrzał na nią uważnie.

- Hannah, ty znów mi coś podejrzanie wyglądasz! - zauważył z troską. - Podam ci aspirynę i trochę letniej wody do popicia. I zrobię ci chłodny okład na czoło.

Pielęgniarskie czynności Jack wykonywał z taką delikatnością i gracją, o jakie doprawdy trudno byłoby podejrzewać potężnego, atletycznego mężczyznę, na dodatek budowlańca z zawodu, a starego kawalera, jeśli chodzi o stan cywilny. Hannah z ulgą napiła się wody ze szklanki, którą on przytrzymał ostrożnie przy jej ustach i stopniowo coraz to bardziej przechylał.

Po napojeniu chorej Jack przysiadł przy niej na skraju łóżka i zwilżonym zimną wodą ręcznikiem zaczął przecierać jej rozpalone czoło.

- Och, jak mi dobrze! - szepnęła Hannah.

- Ciii. Nic nie mów, nie nadwerężaj gardła. Leż spokojnie i odpoczywaj, a gdybyś mogła usnąć, to sobie pośpij. Sen to wspaniałe lekarstwo w przypadku każdej choroby. Ja tu posiedzę przy tobie, Hannah.

- Nie rób sobie ze mną tyle kłopotu, Jack. Już mi lepiej, mogę śmiało poleżeć sama.

- Ciii. Mówiłem, nie nadwerężaj gardła. Posiedzę przy tobie i tyle. Cała przyjemność po mojej stronie.

- Wątpliwa ta przyjemność, Jack!

- Niekoniecznie, przekorna kobieto, niekoniecznie. No, nie sprzeczasz się już ze mną, tylko śpij, dobrze?

- Mhm.

Dziwny jest ten Jack Marshall, pomyślała Hannah, przymknąwszy powieki. Dwight, mój ślubny mąż, zawsze najchętniej wymykał się gdzieś z domu, kiedy mi się od czasu do czasu zdarzyło zachorować. I nigdy nawet nie próbował mnie pielęgnować, chociaż z zawodu był lekarzem. Tłumaczył się, że grypa czy angina to nie jego specjalność i że ze względu na swoich pacjentów, a właściwie pacjentki, musi unikać wszelkich kontaktów z infekcjami. I zniknął. A Jack przy mnie siedzi.

W rozpalonej i obolałej głowie Hannah zrodziła się niespodziewanie pewna niezwykła myśl: Zaraz, zaraz, a może to jest tak, że Dwight nie chciał się mną zajmować, bo mnie po prostu nie kochał? A Jack? Czyżby to miało znaczyć, że on...

- Och, Jack! - wykrzyknęła nagle, otwierając szeroko oczy.

Jack zatrwożył się:

- Co się stało, Hannah? Czy coś cię boli?

- Nie, nie, nic mnie nie boli, Jack! Tylko tak jakoś mi przyszło ni stąd, ni zowąd do głowy, że ty... Że ty mnie chyba kochasz!

Jack uśmiechnął się promiennie i szeroko.

- Kobieto, to musiałaś aż się rozchorować na grypę i dostać gorączki, żeby się tego domyślić? - zapytał ze zdziwieniem. - A jak mógłbym cię prosić o rękę, gdybym nie był w tobie zakochany, co, Hannah? No tak, nawet chyba wiem, co mi zaraz na to powiesz - dodał natychmiast, uprzedzając ewentualną replikę. - Że nie tak dawno poprosiłem o rękę Felicię Fay, chociaż nigdy nie kochałem tej kobiety. Fakt, tak było. Ale widzisz, cała ta historia z Felicią, to z mojej strony od początku do końca była... mhm... pomyłka. Nie, może nawet nie pomyłka! Raczej celowe działanie wbrew sobie, żeby zapomnieć. Żeby zapomnieć o tym, co czułem już od dawna, właściwie od samego początku... do ciebie, Hannah! Zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia, ale zawsze sądziłem, że nie mam u ciebie żadnych szans. Dlatego nawet nie próbowałem cię adorować. Po prostu nie chciałem się wygłupić! No więc wszystko wyszło tak, jak wyszło: zaręczyny z Felicią, małżeńskie plany. Na szczęście los zesłał mi tę błogosławioną dachówkę. I tę błogosławioną utratę pamięci. I przede wszystkim ciebie, w odpowiednim czasie i miejscu, i ten nasz wspólny weekend. Coś nam się razem udało, Hannah, coś nam się przecież już udało, coś wspólnego, coś ważnego, mimo że ty nie jesteś tak we mnie zakochana, jak ja w tobie.

- Ależ jestem, Jack, jestem! Przecież właśnie przed chwilą ci o tym

powiedziałam. Kocham cię, bardzo cię kocham! W tej chwili jestem już całkiem pewna, że to wszystko, co się w ten weekend wydarzyło pomiędzy tobą a mną, było prawdziwą miłością, a nie tylko chwilowym zauroczeniem, nie tylko jakąś przelotną, powierzchowną fascynacją. To miłość, Jack!

- Hannah, skoro mnie kochasz, to chyba zgodzisz się za mnie wyjść, prawda?

- Tak, Jack, zgodzę się! Skoro ty też mnie kochasz...

- Pobierzmy się, jak tylko minie ci grypa, dobrze?

- Dobrze, jak tylko minie.

- Ale pocałujmy się od razu!

- A nie boisz się mojego wirusa?

Jack nic nie odpowiedział, tylko przywarł ustami do spieczonych gorączką warg Hannah w długim, namiętym pocałunku.

- Och, Hannah, będziemy razem niesamowicie szczęśliwi - zaczął snuć marzenia, gdy już oderwał usta od jej warg. - Zbuduję dla nas piękny dom, tu, w Sydney. I jeszcze drugi tam, w Górach Błękitnych, żebyśmy mieli dokąd wyjeżdżać na weekendy!

- Ale przecież my już mamy weekendowy domek w Górach Błękitnych - zauważyła nieśmiało Hannah. - Czyżbyś zapomniał?

- Jest za ciasny - stwierdził z głębokim przekonaniem Jack. - O wiele za ciasny! Nasze maluchy nie będą miały się gdzie bawić.

- Maluchy? - zdziwiła się Hannah. - Ależ Jack, przecież ty nie chcesz mieć dzieci!

- A kto ci coś takiego powiedział, kobieto?

- Ty sam.

Jack Marshall zmieszał się nieco.

- No, fakt, powiedziałem - przytaknął rad nierad. - Tak mówiłem, bo tak mi się kiedyś zdawało. Myślałem, że nie chcę. Ale bezsensownie myślałem i tyle! I już teraz myślę zupełnie inaczej. Wiesz co, Hannah? To może głupie, ale chyba ta historia z małym oposem tak jakoś na mnie wpłynęła.

- To wcale niegłupie, Jack. To piękne! Na pewno będziesz

cudownym ojcem - stwierdziła Hannah. - No i przyjaznym ojczymem dla Chrisa i Stuarta! - dodała z nadzieją.

- Twoi chłopcy na pewno są wspaniali. Bardzo bym chciał się z nimi zaprzyjaźnić! Wiesz, mój własny ojciec zostawił moją matkę, jak tylko się dowiedział, że jest w ciąży. Zmył się i tyle, zniknął. Nigdy nie miałem okazji go poznać. A potem moja matka zmarła, na to nieszczęsne zapalenie opon mózgowych, kiedy byłem jeszcze całkiem małym chłopaczkiem. Zostałem sam na świecie, jak ten palec, przez lata tułałem się po sierocińcach. W końcu wydorostałem, zdobyłem zawód, założyłem firmę, odniosłem nawet jakiś tam sukces w biznesie. Ale ciągle byłem sam jak palec! Już mi się nawet zaczęło wydawać, że tak jest najlepiej, że żadne tam rodzinne kombinacje mnie nie interesują. Aż tu nagle ty się zjawiłaś w moim życiu, Hannah. No i teraz myślę o przyszłości zupełnie inaczej niż kiedyś!

- Ja też o wielu sprawach zaczęłam myśleć inaczej, odkąd cię poznałam - powiedziała z powagą Hannah. - A odkąd spędziłam z tobą ten niezapomniany weekend, to już w ogóle zaszła w moim myśleniu rewolucja! - dodała z lekka żartobliwie.

Jack podchwycił jej figlarny ton.

- I aż cię przez tę rewolucję głowa rozbolała, tak, kochanie? - zapytał.

- Ech, co tam głowa, co tam gorączka, co tam grypa! - stwierdziła Hannah buńczucznie. - Skoro ty mnie kochasz i skoro jesteśmy razem, to nic innego się nie liczy.

- Jesteśmy razem i będziemy już na zawsze, Hannah!

- Wspaniale o czymś takim pomyśleć, Jack.

- Wspaniale, bo wspaniała z ciebie kobieta!

- A z ciebie wspaniały facet!

- Czy to znaczy, że mamy remis, Hannah?

- Nie, Jack! To znaczy, że oboje jesteśmy wygrani!

